ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XLII.

DNIA 14. PAŹDZIERNIKA 1911 R.

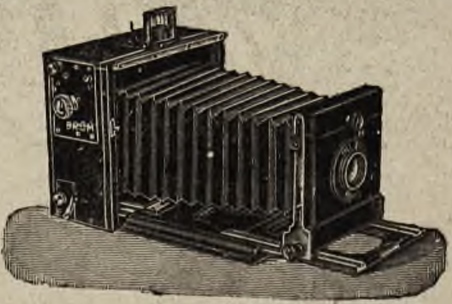
Wydawcy: Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE, ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".



PIERWSZY KRAJOWY
ZAKŁAD ART. GRAFICZNY
ELEKTRYCZNIE URZĄDZONY
A. HEGEDÜS
LWÓW
KOPERNIKA 18
WYKONUJE ARTYSTYCZNIE: KLISZE DRUKARSKIE WSZELKIEGO RODZAJU DLA ILUSTRACYI KSIĄŻEK DZIENNIKÓW CZASOPISM ANONSÓW CENNIKÓW ITP.
FOTOCYNKOGRAFIA
AUTOTYPIA
FOTOLITOGRAFIA
ŚWIATŁODRUK
TELEFON 1675





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

W. LIS.

KOMU SPRZYJAĆ Z POŚRÓD WALCZĄCYCH NA WSCHODZIE?

Pewne pisemko krakowskie zaczęło nawoływać do tworzenia legionu polskiego, mającego pomagać Turkom. Do sprawy tej nie wartoby przywiązywać najmniejszego znaczenia, gdyby szło tylko o owe pismo, gdyż nie zasługuje ono na wielkie zaufanie. Ale to nawoływanie było echem prądów, nurtujących wśród młodzieży naszej, prądów bardzo szczerych i wynikających z najszlachetniejszych pobudek.

Spotkało się zaś ono z przeciwdziałaniem, pochodzącem z dwu stron, należy przyznać jednakowo nie imponujących ani szczerością, ani czystością swych intencyi. Była to po pierwsze konserwa (jawna oraz zamaskowana), która ubolewała, że „krew polska" użyta zostanie na cele „nieodpowiednie", odwrócona od swego naturalnego przeznaczenia; jak gdyby, pod komendą tych panów, mogło niem być co innego, jak chyba tylko zatrucie jej jadem i merkuryuszem! Drugim przeciwnikiem „legionów" była c. k. prokuratorya, broniąca „neutralności" państwa, co temuż państwu nie przeszkadza wcale robić intryg zarówno przeciw Turcyi, jak i Włochom.

Porzućmy zatem ten niewdzięczny teren i przejdźmy do bardziej zasadniczego rozpatrzenia zarzutów, które mogłyby być zrobione przeciwko czynnemu lub platonicznemu wyrażaniu sympatyi Turkom. Trzeba bowiem i w tym wypadku, jak w innych, nie kierować się wyłącznie uczuciem, wypowiadającem się niedwuznacznie po stronie Turcyi, wśród większości Polaków, ale zbadać kwestyę krytycznie.

O tem, że pretensye włoskie do Turcyi nic nie są warte, pisaliśmy już dosyć i ta sprawa chyba jest przesądzona. Nie może być i niema faktycznie w całej Europie cywilizowanej dwóch zdań co do tego, że atak Włochów był czynem nieumotywowanym, cynicznie brutalnym, wywołanym li tylko interesem finansistów włoskich, bez żadnego „figowego listka"; była to prawdziwa *querelle d'Allemand*, jak mówią Francuzi. Ale, możnaby powiedzieć, Włochy dadzą Trypolisowi kulturę europejską, cywilizacyę, wreszcie kapitalizm, bez którego nie może dziś istnieć normalny rozwój społeczny, noszący w swem łonie zarodki przyszłej szczęśliwości. Otóż co jest warta administracya włoska, o tem łatwo się przekonać na przykładzie „cesarstwa Erytrei", t. j. tej części Abisynii, którą Włochy utrzymały w ręku po haniebnych porażkach w wojnie z Menelikiem. Nie będę już tu wspominał o handlu niewolnikami, praktykowanym w swoim czasie szeroko przez urzędników włoskich, o mordowaniu kolonistów włoskich, posiadających kapitały — o czem pisały przed 15 laty szeroko gazety włoskie. Może być, że są to rzeczy prze-

szłości i że dziś *camorra*, (która panuje wszechwładnie w Sycylii i Neapolu), w Erytrei właśnie została wytępiona. Miarodajne są to cyfry, które pokazują nam (patrz Tablica statystyczna Hübnera), że w r. 1907 cały import do Erytrei miał wartość 8,600.000 marek, zaś eksport, 1,800.000 m., czyli nie wiele więcej od 2 milionów koron. I to z kolonii, liczącej 280.000 mieszkańców, oraz 118.000 kilometrów kwadratowych. Jest to eksport prowincyonalnego miasteczka galicyjskiego. Dodajmy, że w r. 1904 tenże eksport wynosił 2,200.000 marek, czyli zmniejszył się przez te trzy lata o 22%. Niema tam zatem mowy o jakimś „rozwoju kapitalizmu"!

Możnaby jednak wysunąć inny argument. Włosi nie atakują Turcyi właściwej, ale Trypolis. A prowincya ta nie jest krajem tureckim. Zamieszkuje ją tylko garstka (podobno 50.000 na 1 milion ogółu mieszkańców) Osmanlisów. Resztę stanowią w większości Berberzy (autochtoni) oraz Arabowie (pierwotni zdobywcy). Włochy występują zatem w Trypolisie w roli zbawców owych Berberów przed uciskiem garstki tureckiej.

No, przedewszystkiem owe 50.000 Turków nie jest znowu taką garstką, szczególniej z punktu widzenia włoskiego. Jest to 5 % ogółu, tymczasem w Dalmacyi, do której dziś jeszcze Włosi roszczą pretensye, nie stanowią oni więcej, niż 3%. Ale pomińmy to. Ważniejsze jest, że ani Berberowie, ani Arabi nie życzą sobie bynajmniej zmiany panowania tureckiego na włoskie.

Wogóle na Wschodzie dotąd pojęcie narodowości nie jest tak rozwinięte i określone, jak u nas. Łączy się tam ono jeszcze silnie z religią, a ta wspólna jest wszystkim mieszkańcom Trypolisu i przeciwstawia ich katolickim Włochom. W ostatnich czasach odbywa się co prawda i w Turcyi ewolucya w kierunku świadomości narodowej. Do ewolucyi tej przyczynili się młodoturcy swemi „endeckiemi" metodami, wprowadzaniem alfabetu arabskiego w Albanii, szykanowaniem szkół nietureckich i t. p.

Ale istnieje pewien potężny czynnik, przeciwdziałający wytworzeniu się w Turcyi tego kanibalskiego nacyonalizmu, jakim kultura europejska może się „chlubić". Czynnikiem tym jest instynkt samozachowawczy, wskazujący Turkom, że nie mogą oni dobrowolnie wystawiać swej ojczyzny na zgubę. Trzeba bowiem pamiętać, że większość narodowości w państwie tureckiem ma protektorów w postaci państw niezależnych, czyhających na całość Turcyi. Państwa te i państewka korzystają z niezadowolenia narodów nietureckich, podsycają je, starają się przemienić je w bunt otwarty, który raz rozdmuchują, drugi raz, gdy ich interes tego wymaga — spokojnie dozwalają tłumić. Serbia, Bułgarya, Grecya, Rumunia otoczyły Turcyę zwartem koliskiem intryg. A za niemi stoją jeszcze groźniejsi wrogowie: Rosya, Anglia, Włochy, niekiedy i Austrya. Wszystkim tym państwom idzie tylko o własny interes, bynajmniej nie o dobro swych rzekomych protegowanych. Ciekawe są pod tym względem rewelacye socyalistów bułgarskich, Sakazowa i Rakowskiego, w socyalistycznej „Neue Zeit". Ci niepodejrzani o stronność turkofilską autorowie wykazują, ile to razy długonosy i długoręki Ferdynand bułgarski wywoływał bunty w Macedonii, a potem pomagał sam je tłumić, patrząc z zimną krwią na śmierć i męczarnie swych mimowolnych agentów. I to, o czem my dowiadujemy się z tygodnika niemieckiego, nie stanowi tajemnicy dla Bułgarów i dla samych Turków.

Bardzo charakterystyczne jest pod tym względem zachowanie się Arabów. W pierwszych czasach istnienia parlamentu tureckiego między Arabami a większością młodoturecką zaczęły się ostre scysye. Deputowani arabscy przeszli do obozu federalistów, którzy jak wiadomo umaczali ręce w kontrrewolucyi, wybuchłej na wiosnę r. 1909. Ale już pierwsze dni panowania reakcyjnego motłochu przekonały Arabów, że jest to sojusznik stokroć gorszy od wroga, od młodoturków, którzy znajdowali się wprawdzie na złej drodze, ale bądź co bądź byli zdecydowanymi zwolennikami rozwoju wolnościowego Turcyi. Odtąd znika ten nieprawy związek agentów hamidowskich i demokratów nietureckich.

A priori należałoby przypuszczać, że i rozwój narodowy Turcyi powinien pójść po linii równouprawnienia narodowości. Osmani nie stanowią bowiem większości obywateli Turcyi, są tam jednym z narodów, może najsilniejszym, ale nie będącym w stanie zgnębić innych. Turcya zupełnie pod tym względem nie przypomina Rosyi, gdzie z rozwojem swobód konstytucyjnych rosnąć będzie szowinizm narodu panującego i ucisk innych; jest to raczej Austrya wschodnia, w przyszłości może — Szwajcarya.

Fakty potwierdzają nasze rozumowanie. Dostarczy nam ich przedewszystkiem zachowanie się Armeńczyków. Jest to jedyny naród w Turcyi, świadomy swych potrzeb, a działający samodzielnie, nie wodzony na pasku przez jakieś mocarstwo. Armenia nie posiada bowiem ani kawałka kraju niezależnego, nie ma rządu własnego, któryby intrygował dla swych celów. Rosya, która kiedyś podsycała cichaczem rewolucyę armeńską, dawno przestała to robić, od czasu, gdy Armeńczycy stali się jej wrogami, tembardziej zaś po rewolucyi tureckiej, odkąd nie Kaukaz, ale Armenia turecka jest centrem grawitacyi ormiańskiej. Otóż partya rewolucyjna ormiańska „Dasznakcutiun", partya w całem znaczeniu tego słowa narodowa (choć socyalistyczna), wyznaje otwarcie swą chęć utrzymania niezależności Turcyi, a po wybuchu wojny ogłosiła, że wszelkiemi siłami będzie bronić państwa przed najazdem.

Coś podobnego dzieje się w Arabii. Tam, na wybrzeżu Hedżasu, nad morzem Czerwonem, od lat dziesięciu toczy się walka z Turkami. Walkę tę podsycają Anglicy, z kolonii swej w Adenie. Chcą oni pozbyć się silnego sąsiada — Turcyi, a zastąpić go przez słabe, rzekomo tylko niezależne plemiona arabskie, które musiałyby podlegać ich władzy. To też Turcya i hamidowska i konstytucyjna nie była w stanie stłumić powstania Arabów. Aliści, zaledwo wybuchnęła wojna, zamiast, by powstanie rozwinęło się szerzej, dowiadujemy się o pokoju, zawartym z Turcyą, naprzód przez Imana Jahię, wodza Hedżasu południowego, później przez Seida Idriza, kierownika powstania w pobrzeżu środkowem.

Widok stanu, w jakim znajdują się ludy wschodnie, rządzone przez Europejczyków, musi

przyczyniać się do rozbudzenia chęci oporu przeciwko „wybawicielom“ włoskim w Trypolisie. Nawet pod rządami angielskiemi tubylcy są na samem dnie upadku i nędzy. Według świadectwa dobrego znawcy Indyi, socyalisty Hyndmana, położenie Indusów, rządzonych przez nawpół niezależnych sędziów indyjskich, bez porównania jest lepsze, niż w prowincyach podbitych. Kiedyś, zapewne Anglia mogła stanowić czynnik postępu w Indyach, ale dziś, gdy Indusi niezależni znaleźli dostęp do wiedzy i kultury europejskiej, rządy obce są tylko hamulcem rozwoju.

Jednem słowem, rola Włochów w Trypolisie nie może być inną, jak tylko rolą rabusiów, działających wbrew najżywotniejszym interesom ludu napadniętego.

A za Włochami czai się, gotowa zawsze do szarpania wszelkiej bezbronnej zdobyczy Rosya, która od 150 lat pokrywa Wschód szkieletami i potrafi zamienić w pustynię najbogatsze krainy. Czają się również apetyty tej części imperyalistów austryackich, którzy pragnęliby ekspansyi na południe, choćby w sojuszu z Rosyą, wbrew najżywotniejszym interesom monarchii. I chyba nie potrzeba wykazywać, że nasz polski interes w tej kwestyi zgodny jest z dobrze zrozumianym interesem Austro-Węgier.

MOWA POSŁA ŚLIWIŃSKIEGO,

WYGŁOSZONA NA ZGROMADZENIU WYBORCÓW I. OKRĘGU 27/IX. 1911 R.

Jest pierwszą i kardynalną zasadą życia publicznego, ażeby stale istniał związek ścisły między ludem, a jego reprezentantami, między wyborcami a tym, którego oni swym rzecznikiem uczynili. Bo wola ludu wyraża się przez usta posłów i głos szerokich mas ma się odezwać ich ustami w ciele reprezentacyjnem. Interes bowiem tych mas, ich dobrobyt, ich prawa polityczne, ich stosunki ekonomiczne i gospodarcze związane są ściśle z taktyką i działalnością ich wybrańców.

Z tej wychodząc zasady staję przed Wami Obywatele, ażeby nawiązać tę nić łączności, aby spełnić to, co przyrzekłem w okresie przedwyborczym, że wola Wasza i Wasze pragnienia będą jedynym wskaźnikiem mojej poselskiej działalności.

Więc nie niosę Wam obszernego sprawozdania poselskiego, szczegółowych relacyi o działalności parlamentu wiedeńskiego, ani wiadomości o zakulisowych wpływach i intrygach. Polityczne wyrobienie, łatwość zasięgnięcia informacyi z dnia na dzień drogą gazet i dzienników uwalnia mnie od roztaczania szerokich obrazów sytuacyi politycznej. Sytuacyę tę znacie dobrze, Obywatele, odczuwacie ją bezpośrednio — więc mnie pozostanie tylko podzielić się z Wami osobistem mojem doświadczeniem i zapatrywaniem, mojemi spostrzeżeniami i na odwrót wysłuchać Waszych uwag i pragnień i postulatów.

Jako poseł stołecznego miasta jednej z dzielnic Polski, jechałem do Wiednia z najszczerszym zamiarem gorliwej pracy dla dobra ojczyzny i kraju. Licząc się ze stosunkami, które sprawiły, iż na terenie wiedeńskim najłatwiej można wywalczyć to, co krajowi naszemu się należy, pragnąłem stanąć do szeregu tam w siedzibie władz centralnych, w stolicy państwa austryackiego, gdzie obraduje reprezentacya ludowa, parlament, powołany do pracy z powszechnych, bezpośrednich, tajnych i równych wyborów, a więc parlament z zasady swej demokratyczny.

Kandydowałem pod hasłem solidarnego i jednolitego Koła Polskiego, uważając, że ze względu na interesy krajowe koniecznem jest skupienie się posłów-Polaków w jednym klubie parlamentarnym, że istnienie zwartej reprezentacyi dać jej musi potężniejsze wpływy w walce o postulaty krajowe. A sądziłem tak nawet wbrew faktycznemu stanowi rzeczy, że postulaty te wskutek „zachowawczości“ czy niedołęstwa, czy też wprost złej woli dotychczasowej większości Koła Polskiego zaniedbywane były, traktowane po macoszemu, a często ignorowane.

Wstąpiłem tedy do Koła Polskiego tem chętniej, że rezultat wyborów był dla myśli demokratycznej przynajmniej w teoryi korzystny i położył koniec hegemonii stronnictwa wszechpolskiego, którego działalność i taktykę uważam za wsteczne i szkodliwe.

Ale ten mój optymizm począł maleć zaraz po zetknięciu się z pierwszymi objawami życia polskiej reprezentacyi parlamentarnej. Zobaczyłem bowiem, że politykę Koła Polskiego prowadzi nie całe Koło, ale jego prezes, powołany na tę godność polityczną, zanim jeszcze całe Koło się wypowiedziało o programie i wytycznych punktach bieżącej polityki. A przecież jeszcze przed wyborem prezesa trzeba było sformułować plan prac i działania Koła, dopuścić, ażeby się wypowiedzieli reprezentanci poszczególnych grup politycznych, a potem dopiero przystąpić do wyboru regimentarza Koła Polskiego, który reprezentować ma całokształt dążeń i pragnień, zapatrywań i poglądów polskiego klubu w austryackiej Radzie Państwa. Czy takim odpowiednim regimentarzem jest dr. Biliński, wybrany zaraz na początku pierwszego posiedzenia, czy dr. Biliński jest i może być reprezentantem zapatrywań i dążeń całego Koła Polskiego?

Na to, znając przeszłość p. Bilińskiego odpowiedzieć nie trudno.

Stanąwszy do pracy na terenie parlamentarnym, spodziewałem się, że pierwsza generalna dyskusya polityczna w nowem Kole Polskiem będzie właśnie taką uroczystą i zasadniczą inauguracyą polskiej polityki na przyszłą kadencyę parlamentarną i to nie tylko w zakresie ściśle austryackim. Spodziewałem się, że pierwsze słowa z tej polskiej trybuny parlamentarnej rozejdą się daleko i szeroko, że nawiążą nić duchowej łączności z naszymi reprezentantami w Berlinie i Petersburgu, — odlecą od ciasnego zakątka interesów i waśni partyjnych. Wyobrażałem sobie, że u progu nowego okresu, zadrga w Kole polskiem

niespożyty duch wolnej Polski, a wspominając przeszły wiek walk i klęsk, nadziei i zawodów, tytanicznego trudu szermierzy myśli demokratycznej złączy się on duchowo z tem, co w smutnych naszych dziejach porozbiorowego bytu pracowało dla dobra ludu miejskiego i wiejskiego.

W rzeczywistości zaś cała dyskusya generalna w Kole zaczynała się od pryszczycy a kończyła na kanałach.

Nie wspomniano ani jednem słowem o stosunku Koła do rządu, nie zajęto stanowiska wobec mowy od tronu, która jest niczem innem, jak tylko wolą rządu, złożoną u stóp monarchy. Wszystko szło starym torem i Koło zachowywało się tak potulnie, jak za czasów parlamentu kuryalnego.

A pamiętać należy o tem, Obywatele, że na 71, a w przyszłości na 74 posłów Koła polskiego, należy 25 do stronnictwa ludowego, do grupy demokratycznej 12 względnie 14 posłów, tak że 39 posłów ludowych i demokratycznych, z wyjątkiem narodowych demokratów, których do grupy demokratycznej trudno zaliczyć — mają przewagę w Kole i mogliby sami przeprowadzić wszystkie postulaty warstw ludowych, które ich do parlamentu wysłały. Trzeba dalej pamiętać, że głównym czynnikiem w Kole polskiem jest reprezentacya stronnictwa ludowego z p. Stapińskim na czele, który decyduje tak o składzie prezydyum, jak i o całej polityce Kołowej. I dlatego oczy wszystkich zwrócone są na działalność stronnictwa ludowego; — ale stronnictwo to niestety nie odpowiada kierunkowi i duchowi czasu, ani też ogromowi ciążącej na niem odpowiedzialności. (Oklaski. Rozmaite okrzyki).

Nim przyszło do skrystalizowania rządu i jego zamiarów, stosunek stronnictwa ludowego do tegoż rządu był rzeczą z góry już załatwioną i skończoną. Za jaką cenę — trudno wiedzieć...

W takich warunkach, nic dziwnego, że Koło polskie nie miało żadnej linii wytycznej, czy ogólnej narodowej, czy gospodarczej lub społecznej.

Z bolem i żalem muszę stwierdzić, że w Kole nie podniosły się głosy w sprawie pruskiej polityki wobec naszych rodaków w Poznańskiem; że nie podniósł się ani jeden głos w sprawie wydzielenia Chełmszczyzny.

Z żalem podnieść muszę dalej, że nie wspomniano o dzisiejszych potrzebach, o tym ucisku ekonomicznym i gospodarczym, który odczuwa każdy obywatel, bez względu na stan i pochodzenie; nie wspominano o drożyźnie, o tej klęsce, która zapędza lud na bagnety, a społeczeństwo pcha do katastrofy ogólno społecznej.

Przyznać jednak należy, że sprawa kanałów była szeroko omawianą. I to na h a b e t prezesa Koła Bilińskiego i wiceprezesa Stapińskiego zapisać należy, że tą sprawą zajęli się gorliwie.

Jak wiadomo została sprawa galicyjskich dróg wodnych — ustalona w r. 1901 ustawą państwową jako rekompesata za drogi żelazne alpejskie, którośmy milionami opłacili — i kanały miały już w r. 1912 być gotowe. Ale potrzeba było lat jedenastu, ażeby — zwykłym systemem austryackim — nic nie zrobiono!

Nareszcie pod ogólnym naciskiem opinii publicznej padły słowa Bilińskiego: „Kiedy kanały galicyjskie padną, to padnę i ja, jako prezes Koła Polskiego!“

I to muszę zapisać na jego p l u s. Myśmy zarazem dodali: „...padną kanały, padnie prezes, padniemy i my jako solidarne Koło“. To nasze stanowisko, poparte pod względem fachowym przez tak znakomitego znawcę naszych stosunków techniczno-wodnych, jak poseł Kędzior, podziałało, i prezes Biliński zajął się sprawą kanałów gorliwiej i skuteczniej...

P. Biliński, który jako minister skarbu austryackiego był w r. 1910 przeciwnikiem dróg wodnych w Galicyi, obecnie się nawrócił i chcę wierzyć, że z tą samą siłą, z jaką w r. 1910 zwalczał kanały, będzie je teraz, jako prezes Koła polskiego, wywalczał.

Ale to jest zaledwie tysięczna część tego, o co walczyć mamy i co nam zdobyć należy.

Walczyć musimy przedewszystkiem w kierunku polityki społecznej.

Polityka społeczna przez cały okres życia parlamentu kuryalnego leżała zupełnie odłogiem. Parlament ludowy musi zająć się nią żarliwie i wynagrodzić szerokim masom ludności robotniczej i wiejskiej zaniedbanie, z jakiem je traktowała przez lat dziesiątki uprzywilejowana Izba poselska i wrogi wszelkiemu postępowi rząd centralistyczny. W kraju naszym specyalnie widzimy niedomagania socyalne i konieczność reform społecznych. Zniesienie pracy nieletnich, zaprowadzenie 8-godzinnego czasu pracy, zastąpienie podatku zarobkowego podatkiem progresywnym, rychłe przeprowadzenie ustawy o ubezpieczeniu społecznem, tanie mieszkania dla robotników, — oto postulaty, które winny leżeć na sercu każdemu z członków demokratycznego Koła, o których więc przeforsowanie walczyć ma solidarnie całe Koło Polskie. Starać się powinna polska parlamentarna reprezentacya o podniesienie tych warstw pracujących, które stanowią podstawę narodu, a więc o podniesienie robotnika i chłopa, starać się powinna o uobywatelenie ich — bo to jest interesem narodu.

Czem jest Koło Polskie — dam przykład konkretny. Mając w pamięci te wszystkie żale wasze, te wszystkie postulaty, przemawiałem w Kole tak, jak do was teraz przemawiam, może nawet trochę goręcej, drastyczniej i jędrniej przedstawiałem bole wasze i życzenia, a wychodząc z założenia, że Koło w dzisiejszym składzie nie jest jedyną reprezentacyą kraju i że poza Kołem jest druga reprezentacya kraju naszego, złożona z 9 polskich socyalistów (brawa), którzy reprezentują około 40% naszego narodu, podniosłem, że przy następnych wyborach nie 9-ciu, ale 20 socyalistów może wejść do parlamentu. Pytałem więc, gdzie rozum, ażeby samym sobie podcinać skrzydła, bo wiemy, że w parlamencie, wobec rządu centralistycznego stanowi siłę tylko ilość podniesionych rąk podczas głosowania; zwracam uwagę, że mamy obowiązek skupienia wszystkich przejawiających się w kraju w rozmaitych kierunkach sił. Postawiłem więc rezolucyę, żeby Prezydyum Koła weszło w kontakt z polskimi socyalistami. Zwracałem przytem uwagę, że opowiadania o „nienarodowych polskich socyalistach“, to bajki i baśnie, że dziś nikt nie wierzy w te brednie, rozpowszechniane przez wszelakich reakcyonistów; zwracałem uwagę, że dziś ci

polscy socyaliści są co najmniej takimi samymi patryotami, jak inni członkowie Koła Polskiego (brawa i oklaski). Mówiłem, że Koło, ta oficyalna reprezentacya kraju naszego, zrozumieć powinna, iż w jej własnym interesie leży zjednoczenie i wzmożenie sił, z któremi każdoczesny rząd liczyć się musi. Mówiłem to wszystko tak, jak dziś do was wypowiadam. A czy sądzicie, że było to czem innem, niż „głosem wołającego na puszczy“, niż rzucaniem grochu o ścianę? To, co się w Kole tłukło przez lat dziesiątki, to się tłucze i nadal — i dlatego my ciągle jesteśmy pod obuchem sił obcych, sił, które gniotą samodzielność każdej jednostki (Głosy: Hańba!) — a supremacya ta trwać będzie tak długo, dopóki społeczeństwo nie znajdzie odwagi i środków do jej złamania. (Oklaski)

Muszę tu dalej poruszyć między innemi rzecz, która napawa goryczą każdego obywatela. Wiecie o fakcie uwięzienia kiku naszych leśników w Rosyi, którzy gniją tam w kazamatach bez winy i powodu — a nie ma nikogo, ktoby się ujął za nimi, za naszymi współobywatelami! Myśmy prosili, błagali i grozili, ale bez skutku. Minister nie może liczyć się z głosem „warchoła“ w Kole Polskiem, który podnosi, jako sprawę pierwszorzędnej wagi, że tam, w Rosyi, kilku Polaków niewinnie zamknięto! Minister spraw zagranicznych pewnym jest bowiem, że z tego powodu nikt mu nie zrobi nieprzyjemności, — jest pewnym całego Koła.

Wnieśliśmy wreszcie projekt ustawy o odszkodowaniu i ubezpieczeniu rodzin tych, którzy przy rozruchach masowych zostali poszkodowani. Uczyniliśmy to przy sposobności debaty drohobyckiej — i tylko pod grozą wypadków drohobyckich udało się nam uzyskać odesłanie tej sprawy do komisyi, celem załatwienia.

Stosunki w pełnej Izbie kształtowały się, bądź co bądź, nieco lepiej, niż w Kole. Statystyka wykazuje, że nowe wybory wprowadziły do Rady państwa żywioły radykalniejsze, niż poprzednio — i skonstatować należy, że rząd bez postępowców, radykałów i socyalistów kwalifikowanej większości głosów mieć nie może, że we wszystkich ważniejszych sprawach musi zabiegać o względy tych kół, gdyż ten żywioł przedstawia 170 głosów w Radzie państwa. Jeżeli żywioł postępowy zyskał przy ostatnich wyborach 20 głosów, to jest to dorobek, który pozwala nam jaśniej patrzeć w przyszłość. (Brawa)

Musimy sobie zdać sprawę z tego, w jakim czasie żyjemy, i co nas czeka. Uginamy się wszyscy pod jednakim ciężarem. W tych czasach epidemii drożyzny nie wolno naśladować polityki strusia, chować głowy pod skrzydła przed niebezpieczeństwem. Musimy zastanowić się, d l a c z e g o tak jest, jak jest, a nie inaczej? Musimy zrozumieć, że to, co się dzieje w Izbie deputowanych, to samo dzieje się i w Kole Polskiem, i w Sejmie i w Radzie miejskiej. Wszędzie widzimy jeden objaw: p r z e w a g ę k a p i t a l i z m u n a d p r a c ą. Społeczeństwo pełne jest oburzenia i wzburzenia, bo życie staje się wprost niemożliwe, nędza gości w każdym domu, rozpacz ogarnia każdego obywatela, który nie jest w możności zaspokoić najpierwszych potrzeb rodziny — i ta rozpacz może popchać go tam, gdzieby on pójść nie chciał.

Kielich goryczy pełny — jedna kropla przechylić go może!

Skoro nie pomagają żadne przedstawienia, to naszym obowiązkiem jest raz nareszcie walkę wypowiedzieć i walkę tę przeprowadzić! (Oklaski). Nie możemy dać się wygłodzić i umierać z głodu! To, co widzimy u nas, to samo dzieje się w całej Europie; — wszędzie społeczeństwa burzą się i buntują, bo nigdy bardziej ludność nie była wyzyskiwaną na rzecz kapitalizmu, niż dzisiaj. Wszelkie otwierania granic, sprowadzania mięsa argentyńskiego, obniżania taryw akcyzowych — to są paliatywa, środki chwilowe, które nie zaradzą klęsce.

Austrya zaprzedała swe ludy na rzecz Węgier, — i dziś widzimy skutki tej polityki, w formie drożyzny mięsa, mąki i innych najważniejszych środków żywności. Ta polityka prowadzi do kompletnego bankructwa. Dzisiejsza przewaga agraryuszy nad żywiołem mieszczańskim musi ustać, — jeżli nie ma przyjść do konfliktu, do starcia...

Gdy z jednej strony wielcy agraryusze, wielcy kapitaliści stoją twardo przy swoim stanie posiadania i nie chcą dopuścić do jakiejkolwiek zmiany stosunków, gdy z drugiej strony stoi ludność pracująca i domagająca się słusznie za swoją pracę zaspokojenia swoich najprymitywniejszych potrzeb życia, i gdy ludność domaga się tego bezskutecznie, a rząd nie jest w możności zaspokoić najniezbędniejszych potrzeb pracującego ludu, to lud musi sobie powiedzieć: „ty, L u d u, r z ą d ź s i ę s a m!“ (Długotrwałe oklaski).

I jako drastyczny przykład tej bezwzględnej przewagi klas posiadających, mamy nasz Sejm kuryalny. Wiecie, że w roku zeszłym wybrał Sejm komisyę, która miała wypracować projekt reformy wyborczej. Ta komisya miała obradować „w permanencyi“ — nieustająco. I co się stało? Oto rezultatem »prac“ tej komisyi jest dziwoląg w postaci projektu sejmowej reformy wyborczej posła Starzyńskiego. Czyż nie jest ten projekt szczytem cynizmu, obelgą, rzuconą w twarz społeczeństwa? (G ł o s y: Hańba!) Jeżeli p. Starzyński pod osłoną marszałka kraju i namiestnika śmie przedłożyć Sejmowi projekt, który oznacza jeszcze pogorszenie dotychczasowej ordynacyi, bo zatrzymując całą niesprawiedliwość i krzywdę społeczną, stara się ją jeszcze „spetryfikować“ i raz na zawsze uniemożliwić zmianę ustawy wyborczej — to istotnie trzeba zwątpić o tem, czy ci panowie jeszcze się czego nauczą, czy pójść zechą za duchem czasów i postępu. Szczęściem jest, że nie przyjdzie do tego, żeby ten projekt był uchwalony, — że unikniemy tej olbrzymiej kompromitacyi w oczach całego postępowego świata.

Ale musimy sobie ze smutkiem powiedzieć, że tak samo, jak Niemcy dali nam, Polakom i Rusinom powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo wyborcze do parlamentu wiedeńskiego — tak i teraz zmianę ordynacyi wyborczej sejmowej wywalczą nam Rusini, a poprawę stosunków ekonomicznych zorganizowani socyaliści! Niestety, musimy wyznać, że nasza reprezentacya

nie jest zdolna do przeprowadzenia tego, co jest naszem prawem i koniecznością naszego bytu, — to jest współudział w rządzie krajowym i gminnym w tej mierze przynajmniej, jak go mamy przyznany w rządzie państwowym. (Brawa i oklaski). I jest hańbą, że czynniki rządzące wszędzie i na każdem miejscu wytężają usiłowania, ażeby niedopuścić warstw ludowych do współudziału w rządach. Bo co było w roku zeszłym w Radzie miejskiej? Oficyalna reprezentacya m. Lwowa obradowała nad reformą prawa wyborczego do gminy, radziła miesiącami i zakończyła obrady na niczem pod pozorem, że „musimy odroczyć, bo nie znamy wyniku spisu ludności“. Tymczasem dziś już posiadamy dokładne wyniki spisu, przeprowadzonego z końcem grudnia 1910 r. i wiemy ilu jest Polaków, ilu Żydów, ilu Rusinów, — ba, już nawet ukonstytuowała się i nowa Rada. I co powiedziała? Oto: „Nad wyborem komisyi reformy wyborczej nie radźmy nawet, bo to jest rzecz nieaktualna, społeczeństwo nie odczuwa potrzeby reformy; tak, jak jest — jest bardzo dobrze! Tak, tym, co mają rządy w ręku, co są ich arendarzami... (Rozmaite okrzyki)... tym jest dobrze! I to jest właśnie przyczyna naszej nędzy, bo gdyby nie było tego samolubstwa klasowego, nie bylibyśmy w niewoli u obcych.

Ale odrodzenie musi nastąpić — przez walkę, przeprowadzoną ze skutkiem! (Oklaski). Bizantynizm sfer rządzących musi być stłumiony na zawsze! (Oklaski).

Przypominacie sobie, jak w r. 1910 oficyalna reprezentacya stolicy kraju w odświętnie przystrojonej sali ratusza lwowskiego, ślubowała, że ku uczczeniu rocznicy grunwaldzkiego zwycięstwa odda nam grunt pod budowę „Domu ludowego“ dla najszerszych warstw ludności, celem podniesienia i uszlachetnienia ich, celem wzmożenia ich sił materyalnych i intelektualnych, — i uchwaliła, że do 3 miesięcy fundacya ta ma być zrealizowaną. I co się stało? Minęło już pięć razy po trzy miesiące — a czy ślubowanie się ziściło? I to jest rząd miejski? To jest anarchia miejska! (G ł o s y: Klika!) — to świadectwo ostatecznego rozkładu pewnych sfer społecznych.

Przed paru tygodniami byłem na zgromadzeniu Krajowego Związku nauczycieli ludowych w Krakowie. Było zgromadzonych około 500 nauczycieli, a ponieważ nauczycieli ludowych w Galicyi jest 15 tysięcy, więc każdy ze znajdujących się na wiecu reprezentował przynajmniej 30 kolegów. I na tem zgromadzeniu biadano i rozpaczano z powodu obecnych stosunków materyalnych i gospodarczych. A gdy nauczycielstwo zwróciło się do mnie, zabrałem głos i powiedziałem im: „Panowie, prośbami niczego nie zdobędziecie. Waszym postulatem jest zrównanie płac nauczycielskich z płacami czterech najniższych rang urzędników państwowych, to jest minimum waszej egzystencyi. Czy to osiągniecie? Nie! Bo nie umiecie żądać, nie umiecie sobie tego wywalczyć. Twierdzenie, że kraj nie może swoich pracowników zapłacić, jest frazesem — bo każda organizacya społeczna musi tak gospodarować, tak układać budżet, ażeby każdy otrzymał zapłatę za pracę i usługi, sprawowane na rzecz społeczeństwa. (Oklaski). I powiedziałem nauczycielom, że są w położeniu przykrem, przykrzejszem, niż funkcyonaryusze kolejowi; to pewne, że gdyby funkcyonaryusze kolejowi się ocknęli, nie minęłoby paru tygodni, a wszystkie ich postulaty byłyby ziszczone“. Wypowiedziałem to wówczas, kiedy jeszcze żądania funkcyonaryuszy kolejowych nie były tak skonkretyzowane, jak dziś. I powiedziałem, że robotnicy i podurzędnicy kolejowi wymuszą na rządzie to, czego żądają w imię słuszności i sprawiedliwości — a wy, nauczyciele, nie jesteście w możności tego wywalczyć. Dla czego? Bo większość wasza nie nadaje się do przeprowadzenia waszych słusznych postulatów, — tylko siłą, strejkiem, można coś wyrwać z paszczy posiadaczy! (Oklaski).

W walce nowoczesnej pracy z kapitałem wyjdzie ten zwycięzcą, kto jest silniej zorganizowany. — I widzimy, że gdy kolejarze stawiają rządowi warunki, które niezawodnie będą spełnione, to nauczyciele nie dostaną nic, z powodu, że nie są zorganizowani tak silnie, jak tamci.

W takiem samem położeniu, jak nauczyciele i kolejarze są także wszyscy obywatele, którzy pracują ręcznie i inteligencya, i urzędnicy i robotnicy — i — oni wszyscy muszą wypowiedzieć walkę i wyjść na ulice! (Oklaski).

To samo, co się u nas dzieje — to samo widzimy wszędzie. Nie tylko tu mamy Badenich i Bobrzyńskich — w ros. zaborze mamy Horwatów i Ostrowskich (Głosy: hańba) i hrabiów Milewskich — a to właśnie te żywioły, którym się zdaje, że ich przywilejem jest stan posiadania i prawo eksploatacyi biedniejszego, który z pracy rąk, lub ze swej pracy umysłowej żyje. I to jest wielka siła, a na usługi tej siły są egzekutorowie podatkowi, są bagnety, jest policya — są funkcyonaryusze lepiej płatni, aniżeli wszyscy stojący na usługach społeczeństwa. (Głosy: Hańba!)

I mało powołać się na to, że Niemcy nadali nam pełnię praw obywatelskich przez reformę ustawy wyborczej do Rady państwa, mało zdać się na to, że Rusini wywalczą sejmowe prawo wyborcze i mało zdać się na to, że socyaliści wywalczą lepszą dolę społeczeństwa. Kto chce żyć — ten musi walczyć — i sam sobie warunki życia zdobyć. (Oklaski).

Zanim jeszcze zapowiedź o moim dzisiejszym sejmiku relacyjnym doszła do wiadomości publicznej, przybyła do mnie deputacya obywateli z zapytaniem, co należy uczynić, ażeby tym rozpaczliwym stosunkom, jakie są, kres położyć? — I deputacya ta rzekła w końcu: Skoro wszelkie żale i bóle ludu nie są zrozumiane przez sfery oficyalne, skoro ani Badeniowie ani Bobrzyńscy nie doceniają skutków tych bólów, i ignorują nas, skoro lud prosi, przestawia i żebrze — bez skutku, a jest nadal deptany i wyzyskiwany, więc co pozostaje? Odpowiedziałem: Nic innego, jak tylko walka uporczywa i bezwzględna, walka nie zaniedbująca żadnego środka legalnego, nie cofająca się przed niczem i przed nikim — walka rozpaczliwa aż do ostatniego tchu. W tej walce chcę stać i wytrwać w pierwszych szeregach, przedewszystkiem tam, dokąd posłaliście mnie, jako Waszego przedstawiciela, jako rzecznika Waszych najżywotniejszych praw i interesów, t. j. na terenie parlamentarnym.

Powiadam raz jeszcze:

Nie zdaję sprawy z mojej pracy dotychczasowej — ale przed wyjazdem do Wiednia żądam od Was, Obywatele, wskazówek i Waszej rady — głos Wasz będzie dla mnie imperatywem i drogowskazem mojego dalszego działania. (Powszechne długotrwałe oklaski).

W dyskusyi, która się wywiązała nad powyższem przemówieniem, zabierali głos pp.: Smulikowski, wiceprezes Związku nauczycieli, dr. Tobiasz Aschkenaze, Pisecki i redaktor Bronisław Laskownicki, poczem zgromadzenie wyborców wśród hucznych oklasków, przyjęło następujące rezolucye dra Aschkenazego:

Zgromadzeni dnia 27-go września 1911 na wiecu sprawozdawczym posła Hipolita Śliwińskiego, obywatele miasta Lwowa wyrażają swojemu posłowi pełne zaufanie i solidaryzują się z jego działalnością i stanowiskiem, jakie zajął w Kole Polskiem, a zarazem

1) protestują uroczyście i kategorycznie przeciw projektowi reformy wyborczej posła Starzyńskiego, gdyż projekt ten jest jaskrawem pogorszeniem obecnej ordynacyi wyborczej;

2) stojąc konsekwentnie przy żądaniu 4-przymiotnikowego prawa wyborczego, wzywają posłów demokratycznych wszystkich odcieni, ażeby nawet na wypadek kompromisowego załatwienia reformy wyborczej w Sejmie, przeszkodzili bezwzględnie wszelkiej reformie, która przynajmniej w miastach nie oprze wyboru wszystkich posłów z miast, na zasadzie 4-przymiotnikowego prawa głosowania i nie przyzna miastom przynajmniej tylu mandatów, ile otrzyma większa własność ziemska, łącznie z wirylistami;

3) domagają się uwzględnienia i rozszerzenia prawa wyborczego kobiet do Sejmu;

4) Protestują przeciw wszelkiej sztucznej petryfikacyi ustaw wyborczych;

5) domagają się zniesienia wszelkich ceł na wszystkie środki żywności i żądają otwarcia granic dla dowozu bydła i mięsa, bez wszelkiego ograniczenia,

6) wzywają posłów poskich, ażeby odmówili bezwzględnie rządowi wszelkiego poparcia, jeżeli jeszcze w tym roku nie będzie rozpoczęta budowa kanałów, w myśl obowiązującej ustawy o drogach wodnych.

JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY). 16)

Opadł na łóżku w nagłem wyczerpaniu, czy porywie rozpaczy.

Nikt się już nie śmiał. Ale ze ściągniętych brwi i wzburzenia obecnych widać było, że mają sto zarzutów do postawienia — i to zarzutów, z których nie każdy przeszedłby im przez gardło.

Julek drżał ze wzruszenia.

Nagle człowiek milczący dotychczas przez cały wieczór, — ten sam, co zrobił już drwiącą uwagę muzykowi — rzekł dziwnym głosem, jakby w złośliwem zadowoleniu wewnętrznem.

— Ponieważ nie jesteśmy na zebraniu agitacyjnem, mówmy bez żadnych obsłonek. Kobiety z ludu. To frazes. Czy o takich mówicie, co tłuką po pysku swoich mężów za każdy grosz dany na organizacyę — i co przeklinają socyałów jak morową zarazę? Czy wy macie pojęcie o tej chciwości w czystym ekstrakcie chemicznym pierwotnej dzikości? A może myślicie, że kobiety z ludu będą to wierne i mocne towarzyszki życia? Nie znacie psychologii pierwotnych instynktów. Czy wiecie, kto na wojnie ma największą wytrwałość? Chłop? tak zwany człowiek prosty? Nie. Oficer, inteligent, z pozoru słabszy, nerwowy... Ani się spodziejecie, jak taka orlica ludowa przefrunie wam do innego, jak najzwyczajniejsza kura ze stada burżuazyi...

Muzyk siadł na łóżku. Wargi mu zbielały zupełnie. Wsłuchiwał się w ten głos z natężeniem wszystkich władz słuchu. Wtem, jakby olśniła go jakaś dawno poszukiwana myśl — rzekł jednym tchem wprost już do nieznanego mu towarzysza.

— Nie kobiet z ludu wina, że jak wszędzie istnieją ludzie nijacy, bez własnych popędów, bez indywidualnych pożądań, lokaje z urodzenia, co dojadają pańskich potraw, piją z niedopitych szklanek. Tacy bywają złodziejami cudzego szczęścia. Swojego wyszukać nie umieją, ale gdy cudze zobaczą, wtedy rozumieją wartość skarbu cudzego. I kradną, jak tchórze, jak lokaje, gdy pana w domu niema. Do kradzieży tyle sposobności. Wybiorą chwilę, kiedy właściciel skarbu bronić go nie może, kiedy żądze, — te wielkie, proste, wolne żądze kobiet z ludu — grają najsilniej — w tęsknocie za jedynym — i kradną ci tchórze cudze szczęście, by cisnąć je potem. Takich włamywaczy bym piętnował rozpalonem żelazem...

Umilkł. Wstał, chwycił kapelusz i jak w lunatycznym śnie wyszedł, nie żegnając się z nikim.

Julek patrzał na niego z dziwnem wzruszeniem, którego nie umiał sobie wytłómaczyć. Każde słowo, które muzyk mówił, wydawało mu się jego własnem. Każde drgnienie jego twarzy odczuwał — ale nie było w tem nawet bólu, tylko olśnienie, że tak cudzą duszę przenika. Tak, jakby ten dziwny człowiek sobą samym wieścił mu jego własny los — ale tak daleki, że teraz tylko trzeba było żyć, używać, póki to najstraszliwsze nie nadejdzie. Ten muzyk wydał mu się nim samym, Julkiem, ale w dalekim rozwoju życia — strasznych niepojętych mąk — kiedyś — kiedyś.

Spojrzał na tego, który do muzyka mówił ostatni. Dojrzał w jego okrągłej twarzy bez zarostu gorzki uśmiech cynizmu i pustego cierpienia. Nie mógł nań długo patrzeć. Szedł od tej twarzy daleki, nieznany strach.

Tymczasem dziwak o olbrzymiem czole, chcąc zatrzeć wrażenie tajemniczego dramatu, co się ro-

zegrał między tymi dwoma, rzekł jakby w dalszym ciągu dysputy.

— Naprożno chcecie przypisać kobietom z ludu wady ogólno-ludzkie, ogólno-kobiece. Ja znałem wspaniałe, wytrzymała ich na wszystko moc była godną największych bohaterek naszej romantycznej wyobraźni... Pamiętacie Marę?

Towarzysz uśmiechnął się prawie cynicznie.

— A owszem, zapytajcie o nią zresztą muzyka, on ją znał lepiej...

Dziwak spojrzał z nagłym niesmakiem. Nikt już nie wszczynał dalszej rozmowy. Wkrótce rozeszli się wszyscy.

Julek, wychodząc rzucił przelotnie okiem w małe obdrapane lusterko, wiszące koło drzwi, i zdumiał się, że ujrzał tam twarz jakby zuchwałego parobka wiejskiego o czerwonych wargach i błyszczących oczach. Zdawało mu się, że z lustra powinna wyjrzeć cierpiąca twarz muzyka...

Zrobiwszy to niepojęte spostrzeżenie znów doznał uczucia jakby radości, że kiedyś czeka go tyle cierpień.

* * *

Świtało już, gdy wrócił do domu. Nie mógł zrozumieć swego nawpół radosnego, nawpół cynicznego niepokoju i ciężkiej powagi niezłomnych, nieznanych postanowień w głębi duszy.

Otworzywszy drzwi cicho, spojrzał na śpiącą Cesię, której nagie nogi wysunęły się jędrne i kształtne z pod kołdry.

Minął ją i wszedł do siebie. Twarz muzyka majaczyła mu wciąż przed oczyma, a Julek wpatrywał się w nią ze wzruszeniem. Czuł, że jego życie dotychczasowe mija bezpowrotnie. To inne jakiem będzie, — nie wiedział. Kiedyś — będzie straszne. Ale kiedy? — kiedy? Dobrze, że nie zaraz jeszcze.

Myślał długo, w nieświadomych pokładach duszy, bez słowa.

W pewnej chwili, gdy się kładł spać, dosłyszał, że Cesia nie spi.

Oblał go war.

— Przykro jej będzie jutro, żem nie przyszedł, — pomyślał — i po chwili wahania już był u niej.

VII.

NA WSI. — PANNA CZESŁAWA.

Dopiero na drugi dzień Julek uczuł straszną rozterkę wewnętrzną. Wydawał się sobie zupełnie obcym, śmiesznym, to znów niewiadomo skąd przypływały nań fale nagłych wściekłości do całego wczorajszego zebrania. Czuł na dnie tej wściekłości cyniczny śmiech, szeroki, wybuchający z żywiołową siłą. Wtedy strach go ogarniał przed sobą samym, to znów chciał biedz do nich i po rękach ich całować i przepraszać nie wiadomo za co. Potem wyrzucał sobie całe swoje życie, które wydało mu się zupełnie pustem i jałowem. A Cesię omijał w myślach starannie, bo czuł, że nic tu nie wymyśli oprócz zupełnie teoretycznych, a więc nieszczerych wyrzutów sumienia, które nie czepiały się zadowolonej rozkoszy jego zmysłów. Nie pomyślał o niej, bo całą tę sprawę czuł w sobie głęboko — nie potrzebował o tem wcale myśleć. Wszystkie jego myśli głuszyła zresztą jakaś tryumfalna fanfara zdrowego, młodzieńczego organizmu, który drwił w żywe oczy wszelkim intelektualnym, czy uczuciowym nawet zarzutom. — Ja chcę, — krzyczało ciało jego i śmiało się — rzekłby muzyk — rozpustnie.

— No i właściwie to wszystko jest doprawdy zupełnie niewinne, — wesoło mówił do siebie Julek i dziwił się, czemu jednak siedzi na tem miejscu, na krześle przy swoim stoliku już ze dwie godziny — i męczy się — czemu twarz ma skurczoną bólem i czemu ani razu się jednak nietylko nie roześmiał, ale nawet nie uśmiechnął.

Wołano go, mówiono do niego — nie ruszył się z miejsca, zapomniawszy natychmiast, że go wołano, że mówiono i że on sam coś odpowiadał.

A zaczęło się tak:

Julek przebudził się z rozkoszy olbrzymiej..

Rozkosz jest tajemnicą. Rzadko daje pełnię, harmonię promienną straszliwego wrażenia, wspólnego zapamiętania się, w którem oboje przestają istnieć, przestają być sobą. Dziś Julek przeżył z Cesią taką chwilę — i nie pomyślał, żeby mu była szczęściem, nie wiedział jak to nazwać. Chwila rozwiała się potem i znikła, pozostawiając po sobie tylko zorzę niejasną czegoś, coby być mogło, czegoś, co było jakby lichem naśladowaniem szczęścia. A jednak było to coś wielkiego, wznosili się oboje na falach rozkoszy coraz wyżej, coraz groźniej, stapiali się w jeden pożar pieszczoty, tracili oddechy, oślepiające, czerwone błyski zasłaniały im świat, tonęli w kojących straszliwych płomieniach, co niosły w sobie ogień i mróz zarazem, a rozpalone ich ciała przeszywały zimne miecze gładkiej, lśniącej stali, rozdzierały je strugi żywych iskier piekących, napełniały je dzikie, zawodzące okrzyki i czuli, że giną w sobie nawzajem, a w morzu słodyczy śpiewnej, bezbrzeżnej, jak błękit rodzącego się dnia...

Czuli w sobie taką przepaść wdzięczności...

A potem?

Dławiący głuchy żal — a na dnie śmiech swobodny sytego, a już głodnego ciała — i znów smutek nieobjęty, niespokojny — i strach...

Czemu to właśnie ona?

To było niejasne pytanie — może wcale nawet nie doszło do świadomości. Wyrastała Julkowi w duszy porwana, tępa rozpacz.

A kiedy nagle przewaliło mu się przez pamięć wczorajsze zebranie — i namiętne, rozbolałe, a silne słowa muzyka — uczuwał w sobie śmiech. A kiedy go tłumił w sobie z obrzydzeniem, śmiech olbrzymiał cynicznie. Wszelkie myśli i słowa dźwięczały mu w mózgu jak puste blaszki. Śmiech i rozpacz biły mu się w duszy ze sobą i oplątywała mu serce zimnemi skrętami oślizgła meduza wstrętu.

Było już południe, kiedy Julek wstał z krzesła.

Spojrzał na pusty blejtram obrazu, z niejasnym, przelotnym strachem przemknął okiem po otwartej księdze Zarathustry i błyskawicą rozświetliła mu głowę myśl, że jeżeli tu jeszcze choć godzinę zostanie, to zginie.

Ręce mu drżały, gdy się mył, ubierał. Potem wyjął z szafki małą walizkę, włożył w nią trochę koszul, książek, kołnierzyków, album z rysunkami, ołówki, pędzle, kartony i płótna do malowania

i przyszedłszy do jadalni oświadczył matce, że wyjeżdża.

Pani Bielska spojrzała nań wielkiemi oczami.

— Kiedy?

— Zaraz.. za godzinę — niedługo pociąg odchodzi.

— Dokąd? Co ci jest Julku?

— Miałem przecież jechać do Skibówki, tam jadę.

— Ależ poczekaj, pojedziesz wieczorem, koszule nieuprasowane...

— Nie mogę. Pociąg odchodzi o 2-giej. Wyjadę zaraz.

— Pożegnaj się z oj em.

— Niech mama przeprosi ojca, pożegna go odemnie. Muszę jechać.

Wziął palto, kapelusz, walizkę i kiedy już miał wychodzić frontowemi schodami, przypomniała mu się Cesia.

Zawahał się.

— Aha, zapomniałem jeszcze... — mruknął do matki i poszedł do kuchni.

Spojrzawszy na Cesię, odgadł odrazu, że ona już się dowiedziała o nowinie. Udał, że nie dostrzega jej tłumionego zmieszania i lekkiej bladości. Zresztą wmówił w siebie, że mu się to zdaje i dziwiła go ta bladość...

— Cesiu, wyjeżdżam — niedługo wrócę...

Cesia spojrzała nań smętnie i spuściła oczy nieporuszona.

— Tak?... — zapytała cicho.

— Tak — muszę — no... dowidzenia.

Chciał ją pocałować, ale weszła matka, która jakby zahypnotyzowana zdziwieniem i niepokojem, postępowała za nim krok w krok.

— Dowidzenia.

Podał Cesi rękę, uścisnął mocno, potem rzucił się matce na szyję i bojąc się wzruszenia, które go ogarniało, szybko wyszedł.

* * *

W wagonie uczuł się rozpaczliwie samotnym. Niepojęta, bezprzyczynowa rozpacz zwiększała się z każdą chwilą. Otaczający go pasażerowie trzeciej klasy, szwargocący żydzi, chłopki z krzyczącemi dziećmi, tędzy, czerwoni koloniści podmiejscy, mówiący ochrypłymi głosami, gruba jejmość, dwa podlotki i jakiś pan z gazetą, siedzący naprzeciwko, wszyscy wydali mu się istotami z innego, nieprawdopodobnie głupiego i ohydnego świata. Patrzał na nich z tępym bólem, bezbrzeżną apatyą i wstrętem. Wnikał w duszę każdego z przeszywającą przenikliwością napiętych do ostatnich granic nerwów i dostrzegał samą malutką, brudnawą nędzę, grube instynkty i wrogość wzajemną, żywiołową, a tak naturalną, jak życie. Spojrzawszy, zapominał o nich natychmiast i pogrążał się w swojej zastygłej rozpaczy, bez myśli, bez treści.

Uciekał od czegoś — a do czego dąży? Po co tam jedzie? Wnikał weń bezlitosny, szarpiący niepokój. Płakałby, gdyby mógł. Serce w nim cierpiało, to znów drżało z trwogi. Z rozkoszą wysiadłby z wagonu — i wrócił? — nie — i co? — zapisałby się do partyi? — na agitacyę? — Nie, nie! On by nie potrafił tego robić — kładłby w to zbyt mało zapału i wiary — czułby może wyrzut do siebie, że namawia tych ludzi do tego, by całe życie swoje i swoich żon i dzieci narażali dla wyzwolenia, które Bóg wie kiedy będzie... Łapał się potem na tej myśli burżujskiej, co wszystkiego się boi i nad wszystkiem się lituje obłudnie — na tej myśli tchórzliwej, co boi się wszelkiej odpowiedzialności za swoje czyny — wstyd mu było tej słabości, tego nieprzygotowania do życia, tych lęków niespodziewanych, obcych jego naturze — i czuł, że po to wracać, równałoby się samobójstwu.

Więc dobrze, jedzie — a co go tam czeka? Próżniactwo, brak treści życia, brak twórczych postanowień, no i zabawy, flirty, polowania...

Co robić?

Czuł w sobie pustkę, żądną wypełnienia, głuchą tęsknotę do czegoś wielkiego...

Pomyślał o Jadzi. Ukazała mu się jak żywa, ale daleka, niedościgniona, sen rozkoszny, prawie mu obcy, słodycz marzenia. — Pewny był, że do niej zwraca się jego rozpacz i tęsknota, wmawiał to w siebie, ale czuł, że to dziwnie powierzchowna, choć bolesna tęsknota.

Nie wiedział, kiedy mu droga przeszła.

* * *

Siadał na bryczkę z pewnym lękiem, ale już z nadzieją. Czuł, że go ogarnia tchnienie wolności. Szło wraz z powiewem od lasów i pól, rozgrzanych słońcem, z szerokiego widnokręgu, z dalekiego błękitu nieba.

A skoro się trzęsąca bryczka potoczyła po szosie i wnet skręciła w boczną drogę, między rżyska z jednej strony, a mięszany zagajnik z drugiej, gdy mały, tłusty konik chłopski parskał wesoło, poganiany zlekka i nieszkodliwie batem, uczuł rodzącą się w duszy radość, wciągał pełną piersią wonne, żywiczne powietrze, i nie mógł wyjść z podziwienia, że teraz dopiero tu jedzie.

— Czegóżem u dyabła dusił się w tej Warszawie tyle czasu? Tu przecież odżyję, uspokoję się — tyle tu do malowania.

Rzeczywiście, na co tylko spojrzał, było piękne, bujne, wesołe, lub zadumane w dalekościach, skąpa e w słońcu, w zieleni i błękicie. Słońce w spokojnem powietrzu słało na ziemię gorące, łagodne blaski, jak pieszczota cichej, kochającej kobiety. Było już koło 6-tej po południu, powstawał lekki wiatr, który szumiał po młodych dębczakach i leszczynach zagajnika i chwiał zdrowemi sosenkami.

Julek myślał o niespodziance, jaką sprawi stryjostwu i cieszył się z góry, co to będą za krzyki radości. Stryj — jak go nazywano stale — „Staś“ niewysoki, zawsze spokojny, z nieokreślonym uśmiechem znudzenia i pobłażliwości na szerokiej, zarośniętej twarzy, ze sprytem w małych szarych oczach, i czemś cichem, nieuchwytnie obłudnem, przyczajonem w całej postawie, miał widoczną słabość do Julka. Bawiła go jego artystyczna i młodzieńcza naiwność, wybuchowość i nieśmiałość jednocześnie, ostre poglądy i delikatność obejścia, a talent bezwzględnie i szczerze mu imponował. Julek czuł to doskonale i odpłacał mu szczerą przyjaźnią. Ale choć cenił go wysoko, wiedział dobrze, co myśleć o jego mniemanym i sławionym szeroko „radykaliźmie“, który wyrażał się głównie w tem, że p. Stanisław żył zupełnie w sąsiedzkich stosun-

kach z chłopami, znał ich na wskroś, umiał z nimi rozmawiać, a w rachunkach był nieubłagany. Zastanawiało Julka zawsze, że stryj, który na swojej dzierżawie słynął w okolicy jako doskonały gospodarz, posługujący się wszelkimi wynalazkami ostatniej doby, nigdy, pomimo niewątpliwie dobrych dochodów, nie przychodził ojcu z pomocą pieniężną. Raz tylko coś tam pożyczył, a ojciec spłacał to mozolnie i stryj te zwroty przyjmował. Wprawdzie miał dwie dorastające, przemiłe córki i syna „lamparta", jak mówił, ale Skibówka na swoich czterdziestu włókach była podobno prawdziwem złotem jabłkiem...

Teraz Julek przypominał to sobie i czuł to nieuchwytne skrępowanie, które go zawsze ogarniało, gdy tam jechał. A jednak radość przywitań stryjostwa, była szczera, Mania i Tecia rzucała mu się na szyję z piskiem i wrzaskiem entuzyazmu prawdziwych pensyonarek, a siedemnastoletni „lampart" Antek starał się obie siostry przekrzyczeć, przyczem zwykle naśladował wszystkie instrumenty, jakie tylko znała orkiestra.

I teraz wszystko stało się tak, jak Julek przewidywał. Gdy objeżdżał szeroki, okrągły klomb przed okazałym dworem, z pomiędzy jego filarów wychyliły się natychmiast jasne główki Mani i Teci i po chwili rozległy się okrzyki:

— Mamo, mamo, Julek przyjechał. — Mamo, mamo! Słyszysz mama! Chodźcie! chodźcie!

A kiedy Julek zeskakiwał nastał taki hałas, takie odsuwanie krzeseł, taki deszcz pocałunków, pytań, wrzasków, śmiechów, Antek trąbił taką fanfarę, tyle osób obejmowało Julka i ściskało go za ręce, że on zupełnie ogłuszony, śmiał się tylko i był poprostu pijany z radości, że tu przyjechał.

(C. d. n.)

PETERSBURSZCZANIN.

WOBEC REWIZYI „OCHRANY".

Rezultaty śmierci Stołypina nie dadzą się jeszcze narazie ocenić i zapewne minie sporo czasu zanim wyjaśni się należycie znaczenie strzału nieszczęsnego Bagrowa. Jedno przecież już dziś da się ustalić, mianowicie, że czyn rewolucyjny pozostającego na służbie żandarmskiej terorysty skompromitował »Ochranę« nawet wobec jej najszczerszych przyjaciół. W murze potężnym, wzniesionym przez cenzurę dla obrony »Ochrany« wobec krytyki prasy, został uczyniony wyłom. I obecnie pełno w pismach rosyjskich, nie tylko opozycyjnych, ale i reakcyjnych z gadzinowem »Nowoje Wremia« na czele, artykułów, korespondencyi i notatek, demaskujących »Ochranę« i jej działaczy. Publiczność rosyjska może obecnie czytać na szpaltach najbardziej rozpowszechnionych dzienników rewelacye, godne prasy nielegalnej, wychodzącej poza obrębem władzy carskich sądów prasowych.

Zapewne, dla czytelnika w państwie rosyjskiem nie mała to przyjemność rozpamiętywania zbrodni »Ochrany«, gdyż każdy przecież cieszy się, widząc, że kierownicy tej ciemnej, złowrogiej siły stoją niejako pod pręgierzem. Niejeden nawet roi o ukróceniu tej siły, o ujęciu jej w karby, o obcięciu jej drapieżnych pazurów, czytając codziennie o zamierzonej rewizyi »Ochrany«, I ci, którzy przekonali się, że rewizye senatorskie, jakie spadły na intendantów, wywołały tylko ogromne podniesienie się stopy łapówek, wciąż jeszcze wierzą, że rewizya »Ochrany« da jakie wyniki dodatnie. Tak jakby »Ochrana« nie była na równi z łapówką jednym z najistotniejszych składników ustroju państwowego caratu.

Czyż bowiem kompromitacya »Ochrany« i stanowiąca skutek tej kompromitacyi rewizya jest w praktyce rosyjskiej czemś nowem? Bynajmniej. Oto skandale, jakie się działy w »Ochranie« bakuńskiej na Kaukazie spowodowały w r. 1905-ym rewizyę senatora Kuźmińskiego, który w swym memoryale stwierdza fakty zaiste skandaliczne. Tak np. prowokator »Ochrany« w Baku organizuje tajną drukarnię socyalistyczną, w której pracują prawdziwi rewolucyoniści — przyszłe upatrzone ofiary »Ochrany«. I pracują w ciągu siedmiu miesięcy, puszczając w świat kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy wydawnictw. Ajenci »Ochrany« prowadzą wśród ludności robotniczej w Baku agitacyę socyalno-demokratyczną i wywołują strejki w celu wsadzenia do więzień ich organizatorów. »Ochrana« umyślnie unika aresztowania wybitnych działaczy socyalistycznych, ażeby nie dopuścić do przerw w ruchu rewolucyjnym, grożących »Ochranie« brakiem materyału do dalszych czynów. Senator Kuźmiński stwierdził, że naczelnik »Ochrany« bakuńskiej własnoręcznie podrzucał rewidowanym przezeń ofiarom rękopisy treści rewolucyjnej. W rezultacie naczelnik »Ochrany« w Baku pułkownik Dremljuga — otrzymał nagrodę i awansował.

Walce z »Ochraną« nie mało sił poświęciła opozycya w Dumie państwowej. I właściwie trzecia Duma ogromnie przyczyniła się do ustalenia właściwych rysów fizyognomii tej instytucyi iście-rosyjskiej. Interpelacya w sprawie »Ochrany« wileńskiej ujawniła np. takie fakty, jak przekupywanie żołnierzy straży granicznej, aby ci przewozili dla celów »Ochrany« wydawnictwa nielegalne. Sprawa Aziewa jakby ogniem bengalskim oświeciła całą zakulisową stronę działalności »Ochrany«, nie schodząc przez długi czas z porządku dziennego. Zaledwie rządowi udało się nieco zatrzeć w pamięci ogółu niesłychanie drastyczne epizody, kiedy rozegrał się dramat, zupełnie przypominający ostatni zamach kijowski.

Oto rewolucyonista Pietrow, przyjęty do »Ochrany« na współpracownika, wykonuje zamach na naczelnika »Ochrany« petersburskiej, Karpowa i zabija go, nie mogąc zabić naczelnika całej tajnej policyi. I znowu biedny pseudo-parlament rosyjski usiłuje kres położyć zbrodniom »Ochrany« i jak zwykle bezskutecznie. Wkrótce potem z okazyi skompromitowania się jednego

z ajentów «Ochrany«, Chorolskiego, Duma, a z nią i ogół społeczeństwa rosyjskiego, znów ma możność przyjrzenia się obfitej wiązance faktów ze sfery krwawych nadużyć »Ochrany«. Odczytywano w Dumie listy rozmaitych działaczy »Ochrany«, opowiadano wprost nieprawdopodobne, nie mniej jednak prawdziwe fakty z działalności prowokatorskiej członków „Ochrany". Przy tej sposobności zostało stwierdzone, że kornet Ponomarjow, który uprawiał najbardziej krzyczące łamanie w celach prowokacyi przepisów obowiązujących, awansował. Natomiast jego naczelnik, który przyczynił się do zdemaskowania Ponomariowa, ucierpiał stając się przedmiotem szykan ze strony przełożonych.

Zapowiedziana już rewizya „Ochrany" kijowskiej nic absolutnie nie zmieni. Prawdopodobnie kilku niedostatecznie zręcznych żandarmów zostanie usuniętych, nastąpi pewną zmiana sił między poszczególnemi „Ochranami", ale w ostatecznym rezultacie budżet „Ochrany" zostanie powiększony. Bo bez „Ochrany" z jej Kulabkami, Azjewami, Ponomarjowymi, Chorolskimi i t. d. Rosya carska nie da się tak samo pomyśleć jak — bez łapówek.

M. DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGII.

Morze i niebo. Bezkresna przestrzeń, w której ginie wszelki wymiar. Jeno Klepsydry diun cicho mierzą czas. Sypki biały piasek w miliardach ziarn przesypuje się ze wzgórz na wzgórza. Szeleszczą suche trawy, jak pióropusze chwały.

Pod nogami strzaskane muszle chrzęstem okrutnym tajemnicę morza głuszą. Jest odpływ. Zmęczone fale, jak zgnany rumak, pianą znaczą swój bieg powrotny. Idzie z oddali płacz.

Morze szle w niebo białe ptaki. Srebrzą obłoki niebios mewy. Żałosny ich zew, mowę sosen naszych łudząco naśladuje.

Granicę Francyi przechodzę. Słychać krótki strzał. Polują na króliki w diunach, po tamtej stronie „Kordonu"...

Kiedyś uciekałem pod Ciężkowicami z Królestwa. Był taki sam dzień — poranek. Cicho, jak króliki, z kopy na kopę przeskakiwaliśmy w błotnistej okolicy. Przemytnik i ja. Mijały kwadranse uciążliwej drogi...

Stanęliśmy wreszcie na granicy. Spalony, karłowaty las zdradzał wszelką postać, wszelki ruch.

Pełzaliśmy.

Już zbawczy las po tamtej stronie, już chłodny jego szmer. W tem, strzał karabinowy...

„Towarzyszu, zygzakiem, do tej olszyny!"

„Dierżi!"

Łowy. Rozegrał się bór wrzawą bitewną. Uszliśmy. Pod wsią na wysokim wzgórzu, leżeliśmy z przemytnikiem, obserwując gorączkowe ruchy „wojsk", tam „za kordonem"!

* * *

W Gandawie ruch nadzwyczajny. Rada miejska, której skarbnikiem, założyciel *Vooruit'u* Anseele, przyjmuje międzynarodowy zjazd Stowarzyszeń do walki z bezrobociem. Widać tu firmy nielada: francuski minister pracy, francuski prezes senatu, b. prezydent Szwajcarskiej Rady Związkowej..

A między nimi rej wodzi, wskazuje a oprowadza Edward Anseele.

Zwiedzili już piekarnie, drukarnie, składy węgla, browary, przędzalnicze fabryki, aptekę... Wszystko to urządzenia kooperatywy, domu ludowego „*Vooruit*".

Aż przyszli do gmachu centralnego, na placu *Vendredi.* Stoi wielki, jasny dom, patrzy oknami wysokiemi swych magazynów, patrzy okienkami niezliczonych pokojów, przeznaczonych na sekretaryaty związków zawodowych.

Zaś pierwsze piętro zajmuje biblioteka i sala prób muzykalnych sławnej w świecie całym orkiestry robotniczej.

O, to nie postrojeni w sukmany chłopi Namysłowskiego, co zdawna zagon ojczysty porzucili, by „dreszczów nowych" szukać. To robotnicy, do kieratu życia swego zaprzęgnięci nazawsze, a jednak twórcy nowych wartości w dziedzinie sztuki muzycznej.

Jaśnieje życiem, zachwyca pięknością architektury „Nasz Dom". „Naprzód!" woła do mieszkańców Gandavy, „tylko zechciejcie, a potraficie sami zmienić świat dzisiejszy!".

Anseele jest jednym z najgorętszych zwolenników odebrania francuskiej kulturze miejscowego uniwersytetu. Anseele chce mieć w Gandawie uniwersytet flamandzki. A ten człowiek umie chcieć.

La Paim, Gandava-Jemmapes we wrześniu.

* *

We Lwowie zbiera się powoli wśród socyalistów pieniądze na Dom ludowy. Święciliśmy Grunwald. Ażeby i „nam sie dusza śmiała do ogromnych wielkich rzeczy" postanowiliśmy na uroczystem posiedzeniu Rady miejskiej „jednomyślnie" wznieść Dom oświatowy, Dom rękodzielniczy i Dom Ludowy.

Minął rok. Już wam tam ręce opadają wobec gospodarki „Nowej Rady Miejskiej"...

Niedawno bawił na uroczystościach w Gręboszowie redaktor „Zarania" z delegacyą chłopską z Królestwa.

Oto jakie świadectwo wystawia „uroczystościom grunwaldzkim".

„Pije kto chce, bo darmo. Wszakci to dar składkowy wsi... dla uczczenia bohaterów wielkiego zwycięztwa... Taka marna rozgorzałczana pospolitość — w wielkie dni narodowych pamiątek. W te dni, w któreby należało skupić się w wielkich myślach, jak zło naprawić i jak siły, moc swoją obecnie spotężnić, ażeby wrogom swym drugi Grunwald zgotować na każdem polu i samym sobie szczęśliwszą przyszłość zdobyć".

I jeno nieliczna garstka b. radców miejskich z Al. Lisiewiczem na czele odepchnie z godnością zbyt ostry, zbyt uogólniający zarzut chłopskiego pisarza z Królestwa, bijącego po chamsku „w pysk" teraźniejszą Municypalność miasta stołecznego:

„Wy którzyście tam w Galicyi przez tyle lat wolność pracy i działania mieli,

tyleżeście uczynili, że lud polski treść swego odrodzenia ma w pawich piórach i w tem, że... karczmy stopniowo pzechodzą u Was w ręce ludzi ochrzczonych?

Tyleście tam uczynili, że głęboka poważna myśl, odradzająca Lud-naród do dziś nie może się czepić u Was całych gromad, jeno je muska i łaskocze pawiemi piórami?"

Pawie pióra ładne, pawie pióra kradnę, zbuduję se pański dwór!

Z jakąż prawdziwą jasnością widzę strojną karczmę w Cieżkowicach, gdzie za szynkwasem wisiał portret Kościuszki, w pawie pióra strojny...

I z jakąż przedziwną jasnością widzę polichromię ścian domu ludowego w Gandawie, gdzie rok rocznie przeszło 2.000 franków zabierają artyści-malarze za upiększanie sal i pokoików *Vooruit'u*.

Z jakąż przedziwną jasnością widzę wytynkowany i wytapetowany orłami białymi dom redakcyi „Słowa Polskiego" we Lwowie.

I z jakąż przedziwną jasnością widzę ciemny, maleńki domek redakcyi i drukarni dziennika socyalistycznego „*Vooruit*" w Gandawie.

Dyrektorem *Vooruit'u*, pisma i kooperatywy jest Edward Anseele, autor słynnego zdania: W każdej wsi jest Dom Boży — kościół. Lud nie jest niczem. Niechajże w każdej wsi belgijskiej stanie Dom Ludowy.

Jakiego to zdania autorem jest p. Wasilewski? Ach, prawda, czytajmy proces Paducha.

* * *

„Na obszernem błoniu pola gręboszowskiego zebrała się ludu moc... Pochodem wielkim z przed kościoła ku kopcowi pociągnęli wszyscy. Z kopca przemówił proboszcz miejscowy, a treścią przemówienia jego było, że tylko katolik może być dobrym Polakiem i że trzeba być posłusznym względem księży.

Później mówił adwokat Moskwa, mówił pięknie i mądrze. Przypomniał jak pod Grunwaldem na pierwszy ogień poszły chłopy polskie i jak lud siermiężny ma odrodzić naród i moc jego z siebie wykrzesać, choćby mu w pierwszych szeregach paść wypadło.

Ruszył pochód w powrotnej drodze do wsi. Wielu rozeszło się do domów, lecz wielu, nazbyt wielu zostało we wsi i dopieroż się tu okazało życie... w pięciu karczmach gręboszowskich" [1].

Tak krzesał moc swoją chłop polski w n-demokratycznej i Pana Stapińskiego Galicyi.

Na obszernem błoniu pola pod Jemmapes zebrało się 8.000 ludzi, tyle co i w Gręboszowie.

Zebrało się, by odsłonić pomnik chwały, pomnik, wzniesiony na pamiątkę Grunwaldu Republiki Francuskiej z r. 1792, Grunwaldu armii „bosych włóczęgów, nędzarzy i biedaków".

„C'étaient les ouvriers de Paris et les paysans des campagnes, les va-n :-pieds e les sans culottes, les gues de misére et les gueux." [2]

To byli oni, co przeciwko magnatom, księżom i królowi stworzyli Republikę i przyszli jej bronić na polach Jemmapes.

„Contre nous de la tyrannie, l'etandard sanglant est levé!".

Szedł lud francuski, by ludowi belgijskiemu wolność powrócić. I na polach Jemmapes wolność ludowi temu powrócił... Zaś Europie średniowiecznej, Europie katolickich książąt, biskupów i królów, ukazał Europę ludów, Europę wolnych narodów, Europę patryotów...

Rewolucyjnej mowy z pod czerwonego sztandaru słuchały na polach Jemmapes szkoły miejskie z Mons. Uroczystość zakończono podniosłą „Marsylianką" i „Brabansonką". Pomnik skrył się pod stosem wieńców i kwiatów.

W katolickiej, klerykalnej Belgii nie może obchód uroczysty iść po najkrótszej drodze od dwóch punktów: kościoła i karczmy, jak to się dzieje u nas, w autonomicznej Galicyi.

W katolickiej klerykalnej Belgii w niejednem mieście bezbożnem znajdziecie 15 domów ludowych.

U nas w „autonomicznej" Galicyi w niejednej wsi znajdziecie 15 karczem. Ale katolickich, ale polskich, ale ludowych...

---

[1]) „Zaranie" Nr. 39. art. redakcyjny „U stóp kopca w Gręboszowie" M. Malinowski.

[2]) Mowa Juliusza Destrée, u stóp pomnika.

Z TEATRU.

„ANATOL" — SZEŚĆ OBRAZÓW CYKLU ARTURA SCHNITZLERA.

(S. F.) Schnitzler jest jak wiadomo świetnym malarzem obrazków z życia burżuazyi wiedeńskiej zaczerpniętych, ktore podmalowawszy bardzo dyskretnemi barwami owiewa lekkim sentymentem i kończy świetnie pomyślanym efektem. Jest także znakomitym psychologiem, zwracającym uwagę na najdrobniejsze drgnienia, na najsubtelniejsze odcienie erotyki wielkomiejskiej.

W siedmiu obrazkach, z których tylko sześć widzieliśmy na naszej scenie, przeprowadza Anatola przez szereg sytuacyi. Wszystkie owiewa nastrojem tęsknoty za jakąś prawdziwą, wieczną miłością, ku której dąży ten „lekkomyślny melancholik". Każe mu przeżywać epizody, jakie Anatol uczuciem i wyobraźnią zabarwia w coś nadzwyczajnego, jedynego i tam, gdzie inni nic nie widząc przechodzą, odkrywa nowe światy. Z biegiem czasu jednak barwy te blakną, obraz zaciera się, a w rękach Anatola pozostaje tylko kollekcya pamiątek, opatrzonych etykietkami, jakby znakami stenograficznymi, zawierającymi w sobie całą esencyę przeżytych niegdyś chwil. Tyle tylko znajduje ten odkrywca nowych światów w miłości...

Nie jest to dramat! Jest szereg nowel ubranych w żywy, błyskotliwy dyalog, których przedmiotem są sytuacye czasem sentymentalne jak stare walce wiedeńskie, czasem śmieszne, dziecinnie śmieszne. Ostatni jedynie obraz posiada wartość sceniczną, inne to tylko doświadczenia psychologiczne w dyalogu rozważane. Mimo to dyalogu tego słucha się z zainteresowaniem i z przyjemnością, niekiedy tylko — zwłaszcza w nieszczęśliwej interpretacyi jakby w słabem tłómaczeniu, z niesmakiem. Wtedy bowiem cała lekkość i styl cyklu znika, a na jaw występują mniej sympatyczne rysy Anatola, które nazbyt jaskrawie akcentowane głuszą to, co jest naprawdę ciekawem u Schnitzlera.

Anatol jest erotomanem, który w słabej reprodukcyi może w widzu wywołać takie wrażenie jak np. człowiek z obowiązku »artystycznego« zajmujący się

psychologią prostytutek, albo jak człowiek, który mając pieniądze, jako tako experymentami erotycznymi zabija czas. Anatol jest takim, ale prócz tego czemś więcej.

Schnitzler próbował umotywować tę erotomanię bohatera swego w drugim obrazku, gdzie tragicznym grymasem każe mu winę zwalić na ramiona jednej z salonów. Tak, tak — ten zawód — Anatol w oburzeniu zapala się, rzucił go na przedmieścia, na wieczną, miłosną tułaczkę.

»Anatol« na naszej scenie był powodem wielu nieporozumień. Sam Schnitzler z trudem rozpoznałby swego bohatera i otoczenie jego. Zaznaczyć się godzi, że Anatola w interpretacyi naszych artystów publiczność przyjęła bardzo życzliwie. Nic dziwnego: artyści bowiem dołożyli, zdaje się, wszelkich starań, by wiedeńskie obrazki przetransponować i podać jak najbardziej zadowalniając specyficzny smak publiczności lwowskiej. Nie śmiem podejrzywać, by stało się to świadomie. I wynik niespodziewany, w ten wieczór błędnych nieporozumień gra artystów znalazła oddźwięk i gorący aplauz w burzliwych oklaskach. Anatola Schnitzlerowskiego nie było na scenie.

P. Adwentowicz (Anatol) grał świetnie, odtwarzając rolę w myśl swej metody: rozbił ją na szereg momentów, które sumiennie opracował w duchu surowego realizmu. Każdy więc moment nabrał przykrej w pewnych chwilach jaskrawości. Momenty też nie pozostały luźne i różnorodne: tak twierdzić — znaczyłoby odmawiać Adwentowiczowi wielkiego talentu kompozycyjnego, dzięki któremu kreacye jego są zawsze w jednej linii konsekwentnie przeprowadzone. Także Anatola stworzył konsekwentnie — wyszedł jednak z fałszywego założenia. A jaskrawość ta w pewnych scenach dała wyniki wprost niesmaczne. Wspomnę tylko scenę »Pamiątek«, gdzie niezliczona ilość precyzyjnie składanych pocałunków wywoływała zachwyt wśród pensyonarek (»jak on całować umie«), na widowni budziła śmiech — była nieznośna. Albo jako przykład tego przejaskrawienia i wielkiej afektacyi zgoła nieodpowiadającej bohaterowi Schnitzlera przypomnę zakończenie „Epizodu", gdzie Anatol o jedno drogie złudzenie uboższy opuszcza pokój: Adwentowicz wybiegł z hałasem i z nazbyt markowanem oburzeniem i gwałtownością.

P. Barwiński trudnej roli Maksa nie podołał. Z pewnymi zwrotami żywego dyalogu nie wiedział, co zrobić, gdyż nie zgadzały się z jego ujęciem tej roli. Wskutek tego Maks stracił na swym wdzięku i dyskrecyi.

Pp. Bednarzewska i Trapszo utrzymały role swe w stylu Schnitzlera, czego powiedzieć nie można o p. Czaplińskiej (Aneta), która dała bardzo prawdziwą w szczegółach kreacyę, w końcu jednak popadła w przesadę.

Niezrozumiały jest powód, jaki kierował reżyseryą przy wykreślaniu bardzo ważnego dla zrozumienia Anatola obrazu drugiego, który jest w dziele Schnitzlera nie dramatyczną wprawdzie, jednak niezbędną i ładną expozycyą. Jeżeli odważono się na tak niebezpieczny eksperyment, jak wystawienie „Anatola", trzeba było dołożyć wszelkich starań, inwencyą reżysera i sztuką dekoratorów przezwyciężyć trudności techniczne, jakie nastręczał ten obraz „Podarków świątecznych" i przedstawić Anatola tak, jak go autor stworzył.

Tłómaczenie poprawne.

W „Gnieździe rodzinnem" Sudermanna bardzo gorąco powitała publiczność p. Bednarzewską, powracającą po dłuższej nieobecności na naszą scenę. Powitanie to żywo świadczyło o tem, że artystka ta stała się niezbędna w naszym teatrze, jak również o tem, że publiczność potrafi ocenić talent i odpowiedzieć na jego pracę i poświęcenie miłością i uznaniem, o czem świadczyły oklaski naprawdę burzliwe przy ukazaniu się p. Bednarzewskiej na scenie i kwiaty, złożone jej po drugim akcie.

S. AUERBACH.

LISTY Z PARYŻA.

V.

Nowa zbrodnia na horyzoncie perfidyi kapitalistyczno-rządowej we Francyi. — Obrazek z francuskiej polityki kolonjalnej: humanitarne obejście oficerów względem podwładnych żołnierzy.

Aczkolwiek we wszystkich krajach, rozwiniętych pod względem przemysłowo-handlowym, gmach okrucieństwa kapitalistycznego ma swoje bardzo konkretne kształty i solidne, wytrzymałe mury i aczkolwiek we wszystkich krajach opiera się ów gmach na rzetelnym fundamencie bezpośredniej lub pośredniej pomocy rządowej, to jednak omnipotencya kapitalistyczna w Republice »demokratycznej« swą wyrafinowaną tyranią przechodzi wszelkie pojęcia. I niechaj czytelnicy nie sądzą, że wyrażenie »wyrafinowana tyrania« jest z mojej strony przesadą. Jedna zbrodnia, w całem znaczeniu tego słowa zbrodnia i która nie ujdzie oprawcom bez pomsty, legła znowu na sumieniu Rzeczypospolitej*, niby ponury cień miecza katowskiego — a druga, zupełnie analogiczna, wisi już w powietrzu.

Ta ostatnia zajmuje nas wyłącznie w tej chwili. Ażeby jednak dobrze zrozumieć przygotowania i okoliczności tej zbrodni — nie została ona jeszcze spełnioną i ofiarę można jeszcze uratować — musimy w dwóch słowach przypomnieć dzieje pierwszej.

Jest to sprawa Duranda. Rzecz dzieła się w Hawrze. Na tle strajku robotników portowych wynikła krwawa bójka pomiędzy strejkującymi i łamistrejkami. I jedni i drudzy byli pijani. Rezultatem tej bójki było zabicie łamistrejka Dougé. Dwóch robotników, podejrzanych o zabójstwo, uwięziono i jakkolwiek do winy się nie przyznali, skazano jednego na 16, a drugiego na 18 lat robót ciężkich. Ale tego nie było dość przedsiębiorcom portowym w Hawrze. Im chodziło o zniszczenie tamtejszej organizacyi syndykalnej, która kierowała strajkiem, a zwłaszcza o pozbycie się sekretarza tego syndykatu, Juliana Duranda, który był ciałem i duchem akcyi strajkowej, broniąc uczciwie, ale energicznie interesów swojej klasy. Rozchodzi się też nagle pogłoska, że na pewnem zebraniu, zwołanem

*) Trzeba czytać: rządców Rzeczypospolitej.

przez Duranda, ten nawoływał do zabójstwa łamistrejka Dougé, co prawda nie wyraźnie, ale słowami: »trzeba go koniecznie usunąć«. Sześćset uczestników owego zebrania oświadcza jednogłośnie, że podobnych słów z ust Duranda nie słyszeli. Sam Durand przeczy również kategorycznie. Władze miasta Hawru wydają o nim świadectwo: »uczciwy, spokojny, łagodny, oddany aż do pasyi walce z alkoholizmem śród robotników«. Przedsiębiorcy, u których pracował, przytaczają fakty, że Durand osobiście zapobiegał wielokrotnie konfliktom, że dzięki niemu wiele nieporozumień załatwiono drogą pokojową i t. d. Ale cóż! — dwaj podejrzanej konduity osobnicy, zawezwani przed sąd, twierdzili, że Durand nawoływał do zabójstwa zabitego łamistrejka... No i na podstawie orzeczenia tych dwóch świadków, sąd wynosi werdykt, skazujący Duranda na — karę śmierci!

Wyrok ten wstrząsnął podstawami Francyi. Albowiem skazano człowieka na śmierć za »współudział moralny« (complicité morale) i aczkolwiek tego współudziału mu wcale nie dowiedziono. Francya demokratyczna kipi i wre z oburzenia. Nawet organy burżuazyi kapitalistycznej, jak naprz. *Matin*, pozwalają deputowanemu Meunier dowodzić zupełnej niewinności Duranda i potępiać wyrok sądu z Rouen. Gwałtowny ruch protestacyjny, będący wyrazem szalonego wzburzenia umysłów, ogarnął wówczas całą Francyę. Fallières i nawet ówczesny premier Briand — przelękli się, wreszcie wyrok śmierci zastąpiono... 7-letniem zwykłem więzieniem. Dlaczego jednak Durand ma cierpieć przez 7 lat? Jeśli jest winnym podburzania do zabójstwa, to stanowczo należą mu się ciężkie roboty; jeśli mu wszakże inkryminowanych słów nie dowiedziono, to znaczy, że jest niewinny, a w takim razie ani jednej godziny nie wolno trzymać go w więzieniu. Spór o to toczy się obecnie i skończy się niewątpliwie uniewinnieniem oskarżonego

Ale w tej chwili chodzi mi całkiem o co innego. Otóż nieszczęśliwy Durand, wtrącony do więzienia, skazany na śmierć, odosobniony nawet w celi dla przeznaczonych pod nóż Deiblera, w ciągu długich miesięcy mając przed sobą okropne widmo gilotyny, nieszczęśliwy ten młodzieniec, energiczny, światły, pełen siły i rozumu, podpora starych rodziców, kochany przez osobę, którą wkrótce miał poślubić — zwaryował w swojej celi... Dzisiaj zaś znajduje się, odziany w kaftan żelazny, w domu waryatów. Otóż to jest właśnie jedna z najokropniejszych, najpotworniejszych zbrodni, jaką sobie można tylko wyobrazić. Skazać człowieka zupełnie niewinnego na śmierć, doprowadzić go do utraty zmysłów — to potrafi uczynić tylko tyrania rządowo-kapitalistyczna!

Ale tego jej nie dosyć. Zupełnie analogiczny, identyczny dramat zbrodniczy omal nie rozegrał się w ciągu dni ostatnich. I być może, że tragiczne widowisko, którego bohaterem był Durand, powtórzonem zostanie na ponurej scenie walki o emancypacyę ludu roboczego...

Sprawa jest następująca: W miejscowości Chambou-Feugerolles, w okolicach St.-Etienne, trwa strajk miejscowych robotników od 6-ciu miesięcy. Przedsiębiorcy nie ustępują i morzą głodem liczne rzesze robotnicze. Te ostatnie, zrozpaczone, uciekają się do środków gwałtownych — bomb. Siódma bomba, która, jak prawie wszystkie poprzednie, nie wybuchła, podłożoną została tym razem pod progi fabryki niejakiego p. Barbiez. Władze na wspólnej naradzie z przedsiębiorcami postanowiły wykryć złoczyńcę za wszelką cenę. Jak zwykle w podobnych wypadkach bywa, argusowe oczy odrazu zwrócone zostały na sekretarza miejscowego syndykatu, Moulina. Ale bez pretekstu trudno jakoś aresztować człowieka, podejrzanego o tak poważne przestępstwo. Tedy miejscowi przedsiębiorcy ogłaszają, że wypłacą 1000 franków gotówką temu, kto wskaże ślady złoczyńcy, który podrzucił ostatnią bombę.

Złoto robi swoje. W kilka dni po ogłoszeniu nagrody tysiąca franków, zgłasza się do komisarza policyi w Chambon niejaki Feliks Raynaud i oświadcza: »Dnia 25 sierpnia sekretarz tutejszego syndykatu, Moulin, proponował mi sumę 50 fr., jeśli zgodzę się podłożyć bombę pod fabrykę p. Barbier. Odmówiłem stanowczo. Tego jednak wieczoru znaleziono tam pocisk, podłożony przez kogo innego«.

Komisarz aresztował Moulina, ale wkrótce uwolnił go. Tymczasem znalazł się inny świadek, Jaendel, kuzyn Raynand'a, który twierdził, że Moulin istotnie proponował podłożyć bombę pod fabrykę Barbiera. Po kilku jednak dniach sprawa rozjaśniła się. Przedewszystkiem stwierdzono alibi Moulina. Następnie żona donosiciela Raynaud napisała do prokuratora list, w którym go zawiadamia, że mąż jej gotowy jest na wszystkie bezeceństwa w świecie, że wielokrotnie popełniał kłamliwe donosicielstwa, i że, dowiedziawszy się o potwornem oskarżeniu Moulina, nie chce dłużej żyć z podobnym pijanicą i opuszcza go na zawsze. Wreszcie i kuzyn Jaendel, rzekomy świadek potajemnej narady, oświadczył komisarzowi: »W przededniu swojej denuncyacyi, zawlókł mnie Raynaud do knajpy, upił absyntem i wymógł, bym poszedł nazajutrz świadczyć przeciw Moulinowi. Za to obiecał mi dać 100 fr. Mając zawróconą głowę i będąc po pijanemu, nie wiedziałem, co czynię. Ale dzisiaj wyrzuty sumienia nie pozwalają mi dłużej milczeć i oto wyznaję całą prawdę«.

Ale na tem jeszcze nie koniec. Za namową przedsiębiorców, Raynaud wniósł skargę na komisarza policyi, że ten jakoby go torturował, trzymał stronę sekretarza syndykatu i bezprawnie uwolnił go. W odpowiedzi na to, oświadczył komisarz policyi Ogliastroni: »Raynaud jest powszechnie znany, jako pijak, kłamca i donosiciel. Czy jest on narzędziem w ręku przedsiębiorców, czy oni kierują jego krokami, to na to nie mam dowodów formalnych. Ale jak sobie wytłumaczyć to dziwne zjawisko, że biedny, żebrzący Raynaud, nędzarz, który omal nie umierał z głodu — mieszka dzisiaj w eleganckim hotelu w Saint-Etienne, przyzwoicie jest odziany, szasta pieniądzmi, jada obiady w dużych restauracyach i w ciągłej znajduje się relacyi z fabrykantami z Chambou-Feugerolles, którzy często składają mu nocne wizyty?«..,

Oto maleńka próbka środków, jakimi posługują się kapitaliści francuscy. Zaiste niewiele brakowało, aby sekretarz syndykatu z Chambou nie podzielił losów sekretarza syndykatu z Hawru, Duranda. Na szczęście, znalazł się uczciwy policyant, któremu sumienie nie dozwoliło przyłożyć ręki do okropnej zbrodni. Ściągnął też na siebie nienawiść fabrykantów i niewątpliwie zostanie odwołanym, boć przecie Francyą rządzi nie Caillaux, jeno finansyera przemysłowa i bankowa, która rozkazuje p. Caillaux, co ma robić, a czego nie ma robić. Takimi też kwiatkami humanitaryzmu i sprawiedliwości usiane jest całe pole walki pracy z kapitałem w trzeciej Rzeczypospolitej. Straszny wygląd ma to pole! Każdy kwiatek wyobraża inną zbrodnię, każdy listek inny zamach na krwią ludową

zdobytą wolność... Sumienie republikańskie zostało przytłumione, wrażliwość przytępiona. Ponownie wszakże zaczynają się budzić brzaski świadomości rewolucyjnej ludu francuskiego. Obecne pochody przeciwko drożyźnie życia są tego dowodem.

* * *

Marokko jest już od całego szeregu miesięcy na ustach wszystkich. Warto więc, a propos, przytoczyć obrazek z francuskiej polityki kolonialnej. Właśnie w Oranie (port na północy Algieru) skończyła się wczoraj (12 września) sprawa w sądzie wojennym, wytoczona trzem oficerom francuskim, oskarżonym o torturowanie i zadanie ran śmiertelnych żołnierzowi Aernoult, który też wskutek otrzymanych ran — zmarł. Pomijam zeznania świadków-żołnierzy, którzy okropne wytaczali przed sądem czyny podsądnych oficerów. Mogą to być świadectwa jednostronne. Ale można śmiało ufać lekarzom wojennym, którzy zresztą robili wszystko, aby ich świadectwa nie obciążyły zbytnio oskarżonych. Otóż ci lekarze twierdzili, że eleganccy oficerowie francuscy, Sabatier, Casanova i Reignier, zadali nieszczęśliwemu Aernoult cały szereg ran, od których musiał umrzeć. Ofiara miała ucho prawie całkiem oderwane, skórę z nosa odartą, jedno żebro połamane wskutek kopnięcia i prócz tego obrażenia na całem ciele. Będącego w stanie agonii Aernoulta przywiązano łańcuchem do haka, umieszczonego w podłodze celi. Zapytani, dlaczego nie zażądali pomocy lekarskiej, oświadczyli: »Nie chcieliśmy fatygować lekarzy, zajętych, być może, gdzieindziej, i nie przypuszczaliśmy zresztą, że Aernoult tak prędko umrze«. Na zapytanie, jakie przestępstwa inkryminowano zmarłemu, oficerowie odpowiedzieli: »Odmówił posłuszeństwa«. Nic więcej.

Po naradzie, trwającej kwadrans, sąd wydał wyrok, uniewinniający wszystkich trzech oskarżonych.

SILVA RERUM.

OSOBISTE. Dr. Maryan Kukiel, sekretarz redakcyi „Życia“ i jego redaktor odpowiedzialny składa z niniejszym numerem swoje funkcye z powodu wyjazdu zagranicę. Dr. Kukiel pozostaje nadal stałym współpracownikiem i gorącym przyjacielem naszego pisma.

PIERWSZE POSIEDZENIE PARLAMENTU WIEDEŃSKIEGO odbyło się w niezwykle burzliwych warunkach. Zaczęło się od bójki — skończyło się strzałami.

Do gmachu parlamentu przyszła, prowadzona przez kilku socjalistycznych posłów czeskich, deputacja rodziców i dzieci, aby protestować przeciw zamknięciu prywatnych szkół czeskich we Wiedniu. Bez najmniejszego powodu rzucił się na kobiety i dzieci parlamentarny kwiat „kulturalnego“ narodu niemieckiego, lżąc i bijąc je. W obronie napadniętych stanęli posłowie czescy i powstała w kuluarach parlamentu bójka, przypominająca najlepsze czasy kurjalnego parlamentu. Bezstronność każe przyznać, że „Nationalverband“ idzie jednak z postępem — takim przynajmniej, jaki odbywa się wśród wiedeńskich „Plattenbrüder‘ów“: prof. Pfersdse wojował niegdyś „majchrem“— dziś dr. Teufel dobywa w parlamencie rewolweru.

Tak fatalnie rozpoczęte posiedzenie znalazło omal że nie tragiczny epilog. W świetnej mowie atakował dr. Adler rząd za krwawą niedzielę i wiedeńskie wyroki. Kiedy w mowie swej użył zwrotu: „Es wundert mich dass nichts losgeht“, a min. Hochenburger szyderczo się uśmiechnął, wypadł jeden ze słuchaczy, Czarnogórzec Vavrak, tak dalece z równowagi, że dobył rewolweru i dał z galerji kilka strzałów do kierownika austrjackiej sprawiedliwości. Na szczęście, dzięki starej konstrukcji broni i wielkiemu oddaleniu, kule chybiły i skończyło się na strachu. Choć zamach był oczywiście nie planowany, ale spontaniczny, na co wskazuje broń, odległość sprawcy, miejsce i okoliczności zamachu i choć Vavrak nikogo z posłów socjalistycznych nawet nie znał, zużytkowały stronnictwa narodowe niemieckie smutny wypadek do niesumiennych wycieczek pod adresem klubu socjalistycznego. Ale dziwić się temu trudno, jak zapachowi kuny — każdy walczy swoją bronią, a posłowie z łaski i na usługach kartelów bali się dyskusji drożyźnianej. Dziwniejsze jest, że premjer Gautsch, którego znaliśmy jako polityka rozsądnego i uczciwego, stracił tak dalece zimną krew, że wypowiedział pod adresem socjalistów a conto zamachu bardzo ostrą mowę i zakończył ją słowami Stołypina po zamachu dynamitowym: — „Nie zastraszycie“. Wobec tego, że nikt na br. Gautscha nie godził, ani nie godzi, ani przy zdrowych zmysłach godzić będzie, źle zastosowany cytat pachnie mocno — offenbachowskim Achillesem. Ośmieszenie się jest dla polityka samobójczą bronią, a bylibyśmy ostatni, którzybyśmy tego autorowi czteroprzymiotnikowego głosowania i wogóle sympatycznemu ministrowi, życzyli. Słusznie też, nie użył Daszyński w odpowiedzi swej ironii, ale w sposób poważny sprostował wywody premiera. Uwięziony sprawca zamachu jest robotnikiem. Z przekonań jest socyalistą.Hochenburgera uważał za sprawcę wiedeńskich wyroków.

NOWY BUDŻET AUSTRYACKI. Wiernym obrazem rozpaczliwego położenia finansowego monarchii jest tegoroczny budżet przedstawiony przez nowego ministra finansów Meyera. Zręczny finansista zdołał wprawdzie przez odpowiednie zestawienie pozycyi przedstawić złudzenie, że bilans wykazuje drobną nadnadwyżkę 300.000 k. przy trzymiljardowych dochodach i takichże wydatkach, ale już pierwszy rzut oka przekonać musi, że mamy do czynienia z nadwyżką fikcyjną. Przedewszystkiem nie umieszczono w budżecie „nadzwyczajnych“ wydatków wojskowych — wynoszących już w roku zeszłym 40 miljonów koron, a w roku obecnym z pewnością więcej. Kredyt ten ma dopiero uchwalić delegacya, ale jest to wydatek zupełnie pewny. Ponadto w dochodach figurują dwie pożyczki: 109 miljonów na inwestycye kolejowe i 25 miljonów na spłatę raty amortyzacyjnej; a pożyczkę trudno uważać za dochód.

Ukrycie deficytu jest jedynym kłopotem ministra finansów. Drugą drażliwą sprawą jest żądanie urzędników i robotników państwowych podwyższenia płac. Wobec wzrostu o 25% cen artykułów spożywczych żądanie jest najzupełniej uzasadnione i przyznaje to p. Meyer, projektując podwyższenie płac. Cóż kiedy ta podwyżka ma być tak homeopatyczną, że klęski drożyźnianej u dotyczących warstw wcale prawie nie złagodzi, nie mówiąc już o usunięciu. Cała podwyżka płac wahać się będzie u urzędników VIII.—XI. rangi między 176 a 192 koronami rocznie (siedem do dziewięciu guldenów miesięcznie!!) — a u robotników państwowych wypada 70 k. na głowę, tj. niecałe trzy guldeny miesięcznie!! Jest to lekkiem markowaniem dobrej woli, ale ale nie żadną poprawą.

Podwyżka płac ma kosztować państwo 33 miljony rocznie. Projektowany sposób pokrycia tej sumy stanowi najjaśniejszą stronę działalności p. ministra: podwyżka podatków nie ma spaść na barki szerokich mas, ale na tych, którzy rzeczywiście ponosić je mogą; składa się na nią podatek osobisto-dochodowy od 10.000 k., akcyjny, ubezpieczeniowy i podatek od totalizatora. Razem dać mają nowe podatki 23 miljony k. Brakujące 10 miljonów wraz z 40—50 miljonami na wojsko (nie wciągniętemi w budżet) trzeba będzie gdziekolwiek pożyczyć, co wraz z 134 miljonami przewidzianych pożyczek da razem około 200 miljonów.

Ale to nie koniec kłopotów finansowych. Bajeczne sumy pochłoną nowe projekty wojskowe, uznane przez rząd za konieczność państwową. Skarb państwowy ra-

towáć musi od bankructwa finanse krajowe, które, w znacznej części dzięki skandalicznej gospodarce autonomicznej, stoją prawie wszystkie nad brzegiem przepaści. A w oszczędnościach doszedł skarb do ostatniego krańca; wydatki na oświatę, na komunikacyę są minimalne, na budowę kolei wydaje skarb 10 miljonów mniej, niż poprzedniego roku. A więc nowe podatki i nowe pożyczki.

CYNIZM. Pan Paszkudzki, prezes, tak zwanej Organizacyi Narodowej okręgu VI wybrał się w deputacyi do prezydenta Neumana, żądając od niego, aby służbie miejskiej pod grozą wydalenia zabronił należeć do organizacyi socyalistycznej. Pan Paszkudzki zgodziłby się bowiem tolerować socyalistów, ale musieliby być narodowymi jak czescy.

Co do nas, nie będziemy polemizować z cynicznym Prusakiem w wszechpolskiej, czamarkowej edycyi, co do „narodowości“ a raczej patryotyzmu naszych socyalistów; bo co do przydomku „narodowy“, ten przysługuje dzisiaj niekiedy nawet szpiclom i denuncyantom, przedzierżgniętym w działaczy: vide Kostrzewski et tutti quanti. Co do p. Paszkudzkiego, niech pamięta Tarnopol! Ale trzeba przygwoździć fakt, że „demokratyczne“ „Słowo Polskie“ popiera nikczemny ów zamach na wolność obywatelską pracowników miasta. Umarli prędko jadą!

JEDNO Z LWOWSKICH PISM ENDECKICH doniosło, że namiestnik Bobrzyński wyjechał dziś rano z domu bez eskorty. Notatka miała widoczny cel wywołania poza Lwowem wrażenia, że namiestnik, jeździ stale otoczony kohortami wojska po ulicy. O ile pamiętamy, b e z e s k o r t y zjawił się dr. Bobrzyński na uniwersytet, gdy stał się przedmiotem znanej napaści uliczników — o akademickich indeksach, ale lata całe pilnowała piesza, konna i orzełkowa służba bezpieczeństwa organu „myśli narodowej“ podówczas — z ulicy Chorążczyzny. Nie powinno się wspominać o sznurku w domu wisielca.

Z RAPTULARZA.

Z RUSKIEGO EPISKOPATU. Pod wpływem sekatur biskupa stanisławowskiego Chomyszyna i odebrania mu przez tegoż bez żadnego powodu probostwa, rzucił się doprowadzony do nędzy proboszcz Kamiński na nieludzkiego dostojnika. Biskup uciekł, a zrozpaczony ksiądz, ojciec licznej rodziny, wyrzuconej przez Chomyszyna na bruk, popełnił zamach samobójczy.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA toczy się dalej w sposób powolny i mdły. Stosunkowo bardzo późno przystąpiła flota do decydującego ataku na główne miasta portowe Trypolitanii: Trypolis i Bengasi; opanowali je po kilkunastogodzinnem bombardowaniu Wedle oficyalnych depesz włoskich ludność arabska bombardowanych miast miała przyjąć zdobywców entuzyastycznie. Turcy uciekli w głąb kraju w popłochu i t. d. Wiadomości te są oczywiście nader mało prawdopodobne. Bliższe prawdy będą wiadomości tureckie, że załoga nie posiadając ciężkiej artyleryi, mogącej stawić opór oddziałom panceraików włoskich, cofnęła się w góry położone na południowy zachód od Trypolisu i zajęła w nich flankową pozycyę, aby ztąd usiłować przeszkodzić marszowi włoskiemu w głąb kraju. Naczelnik muzułmańskiego zakonu rycerskiego „Senusi“ rezydujący w głębi Trypolitanyi w Murzuku miał ogłosić „świętą wojnę“ przeciw Włochom. Równocześnie flota włoska niepokoi mimo ustawicznych zapewnień pokojowych, dawanych Austryi, brzegi albańskie, a Turcya zapowiedziała wydalenie włoskich poddanych z granic imperyum otomańskiego, pod naciskiem jednak Niemiec groźby dotąd nie wykonała. W ostatnim tygodniu zaszły dwa pomyślne dla Turków wypadki. Pogodzili się z rządem zarówno powstańcy jemeńscy, którzy dotąd zmuszali Portę do utrzymania w tym kraju 50.000 wojska, jakoteż Albańczycy, którzy nie umieli ocenić życzliwych uczuć Włoch, w bombardowaniu ich miasteczek i topieniu ich bark rybackich.

ROSYJSKIM MINISTREM SPRAW WEWNĘTRZNYCH mianowany został Makarow. Przeciętny czynownik, nie zaznaczył się on dotąd niczem wybitnem ani dodatnio, ani ujemnie.

W PERSYI opuścił ostatni wódz kontrrewolncyi Salar Danlek plac boju i uszedł do Rosyi.

W PORTUGALII zrobiła próba kontrrewolucyi kompletne fiasco. Wielkim kosztem (kościoła i kapitalistów amerykańskich, którym sprzedał pretendent za bezcen z góry koncesye kolejowe i kopalniane) zorganizowana, pod wodzą awanturniczego oficera portugalskiego Conceiry, jakoteż arystokratycznych oficerow hiszpańskich i austryackich, wyprawa została w pierwszych starciach zupełnie rozbitą. Eks-król Manuel nie miał odwagi przybyć osobiście na plac boju.

PRZECIW BANOWI KROACYI Tomasićowi wystąpił z ciężkimi oskarżeniami dziennik peszteński „Pesti Hirlap“ wydawany przez posła Lengyela, który wsławił się zdemaskowaniem ex-ministra sprawiedliwości Polonyiego. Banowi zarzuca pismo systematyczne łapownictwo, zmuszanie instytucyi krajowych do lokowania pieniędzy w kilku bankach, których sam jest prezesem, używania państwowych funkcyonaryuszów do osobistej służby (n. p. ogrodnika miejskiego wziął do urządzania parku bana, oczywiście na koszt państwa), wreszcie forytowanie krewnych w ten sposób, że np. obsadzenie intratnego notaryatu czekało na zdanie egzaminów przez młodego szwagra bana. Premier węgierski zaręczył w parlamencie za nieprawdziwość zarzutów, ale ban nie kwapi się ze skargą sądową, choć go o to „Pesti Hirlap“ c o d z i e n n i e prosi.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. WRZESIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**